This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

Slav 7111.19.11

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER

VE RI TAS

Digitized by Google

Digitized by Google

Digitized by Google

KILKA WSPOMNIEŃ

Z KAUKAZKIEGO WYGNANIA

przez

C. CIEDROJCIA.

1867 roku.

Nakładem autora.

LWÓW.
DRUKIEM KORNELA PILLERA.
1867.

Digitized by Google

Digitized by Google

KILKA WSPOMNIEŃ

Z KAUKAZKIEGO WYGNANIA.

Digitized by Google

Digitized by Google

KILKA WSPOMNIEŃ

Z KAUKAZKIEGO WYGNANIA

przez

G. GIEDROJCIA.

1867 roku.

Nakładem autora.

LWÓW.
DRUKIEM KORNELA PILLERA.
1867.

Digitized by Google

Slav 7111.19.11
V

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
DEC 5 1968

Keller Fd

Digitized by Google

Kilka wspomnień z kaukazkiego Wygnania.

ERAZMOWI WOLAŃSKIEMU

w dowód serdecznej przyjaźni

poświęca

Autor.

Digitized by Google

Digitized by Google

Dedykacya.

Czcigodny Erazmie!

Kiedy po kilkonastoletniem wygnaniu, przygnębiony nowemi nieszczęściami, znalazłem się znowu jeden na polskiej ziemi, Tyś pierwszy bratniem współczuciem zagoił me rany; Tyś pierwszy przykładem własnego poświęcenia, podniósł we mnie na nowo upadającego pod brzemieniem nieszczęść ducha. Cześć Ci szlachetny mężu! Oby Ojczyzna nasza miała więcej Tobie podobnych synów!

W przyjaźni Twojej, o której zawsze z dumą wspominać będę, znalazłem tyle rozkoszy, tyle pociechy bratniej, że każda kropla krwi, krążąca w mych żyłach, przejęta jest bratnią dla Ciebie miłością.

Przyjm tych kilka wspomnień z najmilszej dla mnie ery mojego życia, w dowód czci i uwielbienia, z jaką dla Ciebie był, jest i nazawsze pozostać pragnie całą duszą i sercem oddany Ci przyjaciel.

G. Giedrojc.

Digitized by Google

Digitized by Google

Wstęp.

Jak z gałązki rodzinnej burzą liść porwany,
Pędzony mroźnym wiatrem, leci w świat nieznany
I tracąc swoją świeżość, usycha i ginie
Z tęsknoty po swej miłej rodzinnej krainie,
Gdzie, gwarząc z swymi braćmi, żył sobie jak w raju;
Tak i ja dzisiaj tułacz wypędzony z kraju
Jeden na obcej ziemi, nikomu nieznany,
Wspomnieniami przeszłości gojąc serca rany
Zdaleka od rodaków i Ojczyzny łona,
Chcę wyśpiewać, wypłakać, zanim głos mój skona,
Wszystko, co mię dotknęło wśród ciężkiej niedoli,
Jak mi tęskno za Litwą i jak serce boli
Wygnańca, który rzucił tę krainę Bogów,
By tułać się po świecie...

Wygnany przez wrogów
Bez nadziei powrotu do rodzinnej chatki —
Tam mię wróg wydarł z objęć zapłakanej matki
I rzucił w dzikie góry pokryte śniegami!
Trzynaście lat musiałem z cara żołdakami
Przesłużyć na Kaukazie, nim zbieg różnych zdarzeń
Uwieńczył pomyślnością plony moich marzeń.
Już marzyłem o szczęściu, myślałem, żem wolny,
Kiedym uciekł od wroga i jak ptaszek polny,
Co wyrwawszy się z klatki do rodzinnych krzaków,
Leci w objęcia swoich braci i rodaków,
Pędziłem na mym wiernym koniu przyjacielu,
Szczęśliwy! jak na ziemi szczęśliwych niewielu;

Digitized by Google

Z piersią nadziei pełną, na przygody ślepy,
Przez samotne, bezludne azyatyckie stepy,
I spiew ptasząt mi wtedy wydawał się tkliwszym
I sam byłem od szczęścia samego szczęśliwszym.
Choć droga była ciężka, nie czułem znużenia,
Tak mi były przyjemne swobody wrażenia;
Siódmy tydzień upływał, wschodzi ranna zorza
I jam ujrzał przed sobą brzeg Czarnego morza
Z łoskotem rzucający śnieżnemi falami,
Na piasek zwilgotniały, pokryty muszlami.
Zsiadłem z konia i ze czcią, padłszy na kolana,
Zaniosłem hołd dziękczynny do mojego Pana,
Który mię wyprowadził z kaukazkiej niewoli,
Gdziem tyle lat doznawał najcięższej niedoli;
Zdało mi się, że dusza ma, zrzekłszy się ciała,
Wraz z dziękczynną modlitwą w niebo uleciała;
I długo, długom klęcząc modlił się ze łzami.
Lecz zaledwie wyrzekłem: Zmiłuj się nad nami;
Usłyszałem, że w porcie wystrzelili z działa.
Krew się ścięła w mych żyłach, zemstą pierś zawrzała,
Bo zacięty bój w Polsce już się wtedy toczył;
Już niejeden męczennik w krwi własnej się broczył;
Trzeba było się spieszyć: zbieram sił ostatek,
Pędzę cwałem do portu, a ztamtąd na statek.
I już płynę, daleko brzegi się zostały!
Już zaledwie je widać. Port, jak punkcik mały,
Coraz to mniej widzialny, zrównał się z brzegami
I utonął nareszcie gdzieś między falami.
Wszystko znikło. Dokoła morskich wód obszary!
Po nich płyną spienione bałwany jak mary;
Parostatek ich grzbiety gruchocze skrzydłami
I z gniewnej piersi rzuca czarny dym kłębami,
Na ósmy dzień w południe rzucono kotwicę:
Z Bosforu zobaczyłem prześliczną stolicę
Dzisiaj Turków, a niegdyś starożytnych Greków.
„O, renegacie biedny! ty, co tyle wieków

Digitized by Google

Byłeś wzorem oświaty, Carogrodzie stary!
Teraz, zrzekłszy się swoich zwyczajów i wiary,
Znikczemniałeś! Bez ładu stałeś się siedliskiem;
A Grecy, co wprzód byli oświaty ogniskiem,
Dziś zniewieścieli tchórze, hańbiąc przodków imie,
Służalcy niewolników we własnej dziedzinie,
Tchórzliwie włóczą jarzmo bezsilnego wroga!
O, Grecyo! biedna Grecyo! jakżeś ty uboga!
Spójrz na krwią zlanej Polski bohaterskie dzieje,
Może się i twa dusza odwagą zagrzeje!"
Gdym tak dumał o niegdyś sławnym Carogrodzie
Kołysząc się jak węże popłynęły łodzie,
A wpół godziny potem już z pogodnem czołem
Gwarzyłem, otoczony mych rodaków kołem.
Po trzech dniach odpoczynku w dalszą drogę płynę
Dunajem na Multany; ztąd na Bukowinę;
Przepływam Dniestr, przed sobą widzę polskie łany
Znowu na łono twoje, kraju mój kochany!
Przybywam, by synowską pomoc nieść w potrzebie;
A gdy pękną kajdany, wtenczas na twej glebie
Proch mój w ziemi swobodnej odpocznie po pracy!
Dziś znów jestem tułaczem, a moi rodacy
Pod gniotem dzikiej Moskwy konają w niedoli!
Znowu oko w łzach tonie i znów serce boli!

Uwięzienie.

Jeszcze cała Warszawa pogrążona we śnie
Spoczywała (bo w zimie wstaje niezbyt wcześnie)
A nie było, jak druga lub trzecia godzina,
Gdy do drzwi moich cicho podpełzł jak gadzina
Policyjny przędnik i puknął trzy razy,
„Kto tam? z łóżka krzyknąłem! To ja! na rozkazy
Pańskie tutaj przyszedłem! Proszę drzwi otworzyć!"
„Mój panie! kto po nocy chodzi ludzi trwożyć?

Jest dzień na to! „więc jutro zrana tu przyjść proszę!
Kto pan jesteś!? „Ja pilną bardzo wieść przynoszę,
A kto jestem, to pan się o tem później dowie;
Naprożno chciałem zgadnąć, kto on był, po mowie;
Głos był obcy zupełnie. Zdjęty ciekawością
Wstaję do drzwi zamkniętych, zbliżam się ze złością,
Otwieram je — zdaleka słyszę brzęk pałasza.
Urzędnik rzekł: „Cóż robić, to powinność nasza,
Musiałem pana zbudzić, w sieniach są żołnierze;
Niechaj więc pan dobrodziej prędko się ubierze,
Bo mam rozkaz natychmiast aresztować pana!
Z miłą chęcią bym gotów wstrzymać się do rana,
Lecz nie mogę, bo rozkaz władzy spełnić muszę.“
Gdyby szatan był wtedy przyszedł po mą duszę,
Tobym wołał go spotkać, jak tego nędznika!
Lecz posłuszny rozkazom pana urzędnika
Ubrałem się. Dorożka już była gotowa.
Żandarm, co u drzwi stojąc, nie rzekł ani słowa,
Siadł ze mną i po chwili w murach cytadeli
Już siedziałem zamknięty w swej wilgotnej celi.
Wiedziałem, że mię zaraz zaczną indagować
Czem można, tem potrzeba było się ratować.
Zacząłem więc udawać, że się mocno jąkam,
By zanim co nadane pytanie wybąkam,
Mieć więcej czasu swoją obmyśleć odpowiedź.
Pół roku się ciągnęła ta okropna spowiedź.
Po kilku indagacyach nabyłem biegłości,
Przełożony komisyi wściekał się ze złości,
Że mię nie mógł potępić, bo się nie dowiedział
Z moich zeznań nic więcej jak to co już wiedział.
Raz chciał użyć fortelu. Kiedym wszedł do sali,
Rzekł mi, że już koledzy moi się przyznali
Do wszystkich swoich czynów i za to w nagrodę
Otrzymają najdalej za tydzień swobodę,
Że i ja w taki sposób mogę radzić złemu,
I jeżeli otwarcie wszystko wyznam jemu,

Digitized by Google

To będę zaraz wolnym, a w przeciwnym razie
Postąpi tak, jak władza wyższa w swym rozkazie
Kazała mu postąpić, smagać do przyznania,
I wszystkiego z swej strony przyłożyć starania,
Byleby dociec prawdy, którą rząd chce wiedzieć,
Radził mi, by mu lepiej wszystko wypowiedzieć,
I być wolnym, jak znosić bez potrzeby karę.
„Ja, rzekł mi, mam u rządu mego taką wiarę,
Że zaraz mógłbym pana, jako niewinnego,
Uwolnić z pod aresztu, i tylko dla tego
Pan tu siedzisz, i długo jeszcze będziesz siedzieć,
Że kłamiąc ciągle, prawdy nie chcesz mi powiedzieć.“
Ty także kłamiesz! sobie pomyślałem w duszy,
Nie myśl, że mię twa prośba albo groźba wzruszy!
Znam ja swoich kolegów! nikt z nich nie mógł zdradzić,
Ujm więc sobie fatygi i przestań mi radzić!
Alem udał, że jestem przejęty żałością,
I jąkając się rzekłem mu z wielką czułością:
„Podli moi koledzy! jak dziś wierzyć komu!
Nigdybym ich nie puścił był i na próg domu,
Gdybym wiedział, że byli zbrodniarzami stanu;
Bo za szczerość, szczerością równą płacąc panu,
Muszę wyznać, że nigdy nic mi nie mówili
O czynach, które teraz panu wyjawili.“
Pawliszczew skoczył z krzesła jak piorunem tknięty
Krzycząc: „Precz idź odemnie, jąkajło przeklęty!
Ja was wszystkich w grób wpędzę, będziecie widzieli!
Wszyscy tu wyzdechacie w murach cytadeli!“
Nazajutrz kazał dać mi na obiad trzy śledzie,
A kiedym się chciał napić wody po obiedzie,
Pawliszczew przez żandarma kazał mi powiedzieć,
Że wprzód muszę mu całą prawdę wypowiedzieć
Zanim wody dać każe, a jak nie przestanę
Kłamać, wtenczas już wody trzy dni nie dostanę.
Trzy dni dawał mi śledzie na różne sposoby,
I ani kropli wody przez całe trzy doby.

Digitized by Google

Na trzecią noc wypłutą połykałem ślinę,
Bo już język popękał, myślałem że zginę,
Jeśli jeszcze dzień doznam takiego pragnienia;
Lecz już zrana skończyły się moje cierpienia.
Kiedym dostał dzban wody i kawałek chleba,
Tom myślał, że się z piekła dostałem do nieba.
W południe sprowadzili nas wszystkich do sali
Gdzie z rózgami żołnierze już u drzwi czekali.
Dalej cała komisya siedziała przy stole.
Nam wszystkim stać kazano przed stołem w półkole,
Potem żądał Pawliszczew, byśmy przy badaniu
Zaprzeczyli swojemu pierwszemu zeznaniu,
A gdy żaden z nas na to nie zechciał się zgodzić,
Zagniewany okropnie zaczął nam dowodzić,
Że kłamstwem na ten środek zmuszamy go sami
I wszystkich po kolei kazał bić rózgami.
Chomiczewski Kajetan chcąc nas uratować,
Rzekł przed całą komisyą: „Pocóż ich katować,
Kiedy ja, będąc tego spisku naczelnikiem,
Wiem, że nikt z nich nietylko że nie był czynnikiem,
Lecz żadnego udziału nie brał w całej sprawie,
A nawet wielu wtenczas nie było w Warszawie
Kiedy zamach na życie cara był zrobiony."
Pawliszczew, nadzwyczajnie tem uszczęśliwiony,
Chomiczewskiego zaraz sadzi na fotelu
I pyta się najgrzeczniej: „Powiedz, przyjacielu!
Dla ocalenia swego, kto w tej sprawie winien?"
A rzekł mu Chomiczewski: „Tegom nie powinien,
I nie wyznam nikomu, na to słowo daję!"
He! Pawliszczew powiada, „tak się panu zdaje!
My mamy różne środki! wszak musisz pan wiedzieć,
Że jeżeli nam prawdy nie zechcesz powiedzieć,
To każemy bić pana, i kiedy zaboli
Trzeba będzie powiedzieć prawdę mimowoli,
Bo zawsze droższe własne jak bliźniego plecy!"
Kajetan kładnąc palec na płomień od świecy,

Digitized by Google

Rzekł z krwią zimną: Jak widzę, pan się mocno myli,
Myśląc, że powiem wszystko, gdy będą mię bili;
Ja zaś mówię, że nie ma na upor lekarstwa,
I choćbyś pan sprowadził z całego cesarstwa
Wszystkie kije, i na mnie chciał wszystkie połamać,
To i wtenczas nie zdołasz mój upor przełamać!"
Gdy to mówił z płomienia palca nie wyjmował.
Pawliszczew, co złość swoją już długo hamował,
Wybuchł gniewem i krzycząc na swoich służalców:
„Bierzcie prędzej odemnie tych wszystkich padalców!"
Sam od stołu odtrącił pięścią Kajetana.
Na drugi dzień zaledwie ze snu wstałem zrana
Żandarm, który na straży stał przed moją kaźnią,
Dał mi małą karteczkę z udaną bojaźnią
Mówiąc, że jakiś więzień tę kartkę mu wręczył,
I dawszy kilka rubli dopóty go męczył,
Nim nie przysiągł, że kartka mnie będzie oddana.
W kartce tej było tylko: „Uprzedzamy pana,
Że musieliśmy z bolu całą prawdę wyznać,
Więc i panu się teraz wypada już przyznać."
Myślę sobie: zapewne w tem podstęp być musi.
Czy nie Pawliszczew czasem tą kartką mię kusi?
W każdym razie, jeżeli to jest zdrajcy rada,
Kartki w obronie własnej mi użyć wypada,
I zaraz dyżurnego odesłałem z misyą,
Aby mi pozwolono stanąć przed komisyą.
Pawliszczew, co tę kartkę sam napisać raczył,
Przybycie me na swoją korzyść wytłumaczył;
Myślał bowiem, że chcę się do winy przyznawać,
I zaczął już nadzwyczaj czułego udawać.
Lecz gdym oddał mu kartkę w dowód niewinności
Mówiąc, że nie zrobiwszy najmniejszéj podłości,
Oburzony tą kartką przychodzę go prosić,
Aby żandarmom nadal zabronił je nosić,
Rzucił się do mnie krzycząc: „Znam ja cię, jąkajło!
Tobie, gadzie nikczemny! pewno się zdawało,

Digitized by Google

Że zdradzając kolegę, co ci radził szczerze,
Złudzisz mię i ja w twoją niewinność uwierzę!
Wiem, że wybyście wszyscy tego bardzo chcieli!
Won! Idź sobie gadzino, marsz do swojej celi!"
Wyszedłem na korytarz nadzwyczaj szczęśliwy,
Bo jeżeli Pawliszczew, rang i krzyżów chciwy,
Gniewał się przy badaniach, tośmy dobrze stali;
Przeciwnie jeśli czasem jemuśmy wyznali
Coś takiego, co mogło szkodzić naszej sprawie,
Wtenczas był najgrzeczniejszym, chociaż zawsze prawie
Musiał żegnać nas z gniewem, bo się pokazało
Z końcem badań, że śledztwu nic się nie udało
Wykryć na naszą zgubę i gdybyśmy byli
Przed każdą indagacyą z sobą się zmówili,
Jak się mamy tłumaczyć, to i w takim razie
Zeznania pojedyncze tak w każdym wyrazie
Nie byłyby się z sobą, jak teraz, zgodziły.
Ale chwile swobody dla nas nie wybiły,
Bo komisya zrobiła takie sprawozdanie,
Że chociaż najściślejsze z jej strony badanie
Nie zdołało faktycznie dowieść, żeśmy winni
Lecz ma to przekonanie, że my a nie inni,
Na życie cara godząc, wyszedłszy wieczorem
Na drogę skierniowiecką, zkąd car ze swym dworem
Miał wracać do Warszawy, wyłamali szynę,
I dokonawszy zbrodni, w tęż samą godzinę
Opuścili Warszawę, że Pieńkowski potem
Przerażony swą zbrodnią, sam dał wiedzieć o tem
Żandarmeryi szefowi, wyznając zarazem
Nazwiska tych, co szynę łamali z nim razem.
Komisya podejrzewa, że śmierć Pieńkowskiego,
Który zginął nazajutrz, przez kolegów jego
Była spowodowaną za to, że ich zdradził;
Storożenko zaś temu w ten sposób zaradził,
Że kazał bez dowodów wszystkich winowajców
Sądzić wojennym sądem jako stanu zdrajców.

Digitized by Google

I znowu nowe męki gorsze od konania,
Bo sąd wojenny wszystkie komisyi działania
Zaczął sprawdzać dla formy, choć rozkaz był inny.
Podług tego rozkazu, winny czy niewinny,
Miał zostać winnym na to, by otrzymać karę.
Sąd więc prawdy nie szukał, lecz w miesięcy parę
Badając nas, tak swoje pokierował kroki,
Że wszystkim winy stworzył i wydał wyroki.
Car przez dobroć ojcowską wyrok sądu zmienił,
I stryczek w wieczną zsyłkę na Kaukaz zamienił.

Pożegnanie z Matką.

Sąd nareszcie się skończył, wyrok odczytany,
Posiepacze przynieśli żelazne kajdany
I okuli mi nogi. Komendant łagodnie,
Rzekł niejako z litością, że za stanu zbrodnię
Jam był na śmierć skazany, lecz car ułaskawił
I z litości ojcowskiej życie mi zostawił;
Ale kazał pozbawić wszystkich praw cywilnych;
Majątek skonfiskować i do swoich silnych
Szeregów na Kaukazie zesłać bez wysługi.
Słuchałem obojętnie tej carskiej papugi,
A myślałem o matce, co srodze cierpiała,
Nie widząc mię tak długo, i teraz czekała;
Lecz czekała, jak na śmierć osądzony czeka,
Nim ręką kata jego zamknie się powieka,
Bo wiedziała, że więcej już mię nie zobaczy.
Przeczułem, że ją znajdę w okropnej rozpaczy,
I ze drżeniem czekałem tej bolesnej chwili:
Nareszcie mię żołdacy wkoło otoczyli
A komendant iść kazał. Brzęknęły okowy.
Nie słyszałem już więcej komendanta mowy,
Bo żal ciężki ogarnął mem sercem i duszą;
Cały byłem przejęty tą straszną katuszą,

Digitized by Google

Którą ma biedna matka teraz przenieść miała,
Noga mi się w kajdanach jakoś zaplątała,
Zakręciło się w głowie, upadłem bez siły.
Żołdacy mię podnieśli jak trupa z mogiły,
Bladego, znużonego moralnem cierpieniem.
Wyszedłem na korytarz z silnem serca drżeniem.
Przeszedłem mimo kaźni, gdziem siedział zamknięty;
We drzwiach na wpół otwartych stał żandarm przeklęty,
Pilnując jakiejś nowej nieszczęsnej ofiary:
Wzdrygnąłem się na widok tej nędznej poczwary
I krokiem przyspieszonym wszedłem na podwórze.
Przez kraty małych okien, co były na górze,
Żegnali mię rodacy, wyciągając dłonie,
Za bramą już gotowe były dla mnie konie
Zaprzęgnięte w kibitkę. Umniejszyłem kroku
Obejrzałem się wkoło i ze łzami w oku
Pożegnałem rodaków na męki wskazanych,
Wychudłych, jak śmierć bladych, niedolą znękanych,
Szlachetnych męczenników za ojczystą sprawę.
Z bolem serca spójrzałem na biedną Warszawę,
Pokrytą mgłą, bo dzień był jesienny i brzydki.
Matka moja czekała już koło kibitki,
Spostrzegła mię nieszczęsna, padła i zemdlała,
Chwilę była bez życia, jak gdyby skonała.
Tak się zmieniła w twarzy, że nie miałem siły
Patrzeć na nią! Myślałem, że to trup z mogiły
Rozbudzony boleścią porzucił grób skrycie
Na to, by znowu skonać, i już tracił życie.
Zbudziła się nareszcie i jak obłąkana
Z dzikim jękiem przedemną padła na kolana,
Z jękiem który, zdało się, że kamienie wzruszy,
Bo to był jęk boleścią przygnębionej duszy:
Duszy jednak żandarma poruszyć nie zdołał.
„Dość już tego, służalec caratu zawołał,
„Trzeba siadać i jechać, bo daleka droga.“
Pogardliwie spójrzałem na tego raroga

Digitized by Google

I wsiadłem do kibitki, obok mnie służalec,
Na kurek pistoletu położywszy palec,
Ulokował się prędko, oczyma mnie zmierzył,
Woźnica zlekka konie lejcami uderzył,
A kibitka ruszyła turkocząc po bruku.
Jęk matki mię doleciał i wśród tego huku,
Jęk, którego dotychczas zapomnieć nie mogę.
Obejrzałem się jeszcze, by ujrzeć niebogę:
Stała i jęcząc z żalu, widać w strasznej męce,
Jak obłąkana do mnie wyciągała ręce,
Nareszcie znikła z oczu, lżej mi się zrobiło,
Bo już za nadto ciężko na nią patrzeć było.

Pożegnanie z Ojczyzną.

W ulicach, gdzie jechałem, wszędzie lud się tłoczył,
Na Krakowskiem przedmieściu mój woźnica zboczył,
Nowym zjazdem do mostu, a ztamtąd na Pragę,
Którą jeszcze Suwarów wyrżnął za odwagę,
Z jaką broniła wejścia Moskalom u szańców.
Barbarzyńca zdobywszy ją, wszystkich mieszkańców
W pień wyciął, nawet drobne dzieci i kobiety
Przy sobie kazał wsadzać na ostre bagnety:
Sześć tysięcy mieszkańców w trupa zamieniwszy,
Obchodził swe zwycięztwo, i był najszczęśliwszy.
O przeklęci Mongoli! czyliż wasze plemię
Szatan na karę ludów sprowadził na ziemię!
Litościwy nasz Panie! kiedyż gniew Twój minie?
Czyż krew niewinnych ofiar, co tak dawno płynie,
Przebłagać Cię nie zdoła, byś z nas jarzmo zrzucił,
A swobodę praojców nieszczęśliwym wrócił!
Przedmieście się kończyło, coraz mniejsze chatki
Mignęły przed oczyma, u samej rogatki
Konie pobiegły wolniej, ja cały zadrżałem.
Spójrzałem na Warszawę, którą opuszczałem

Digitized by Google

Bez nadziei powrotu, i wszystkie wspomnienia
Przebiegły przez mą pamięć, jak gdyby wrażenia,
Których dawno doznałem, tylko co minęły.
Ciężko mi się zrobiło, w oczach łzy stanęły,
Chciałem modlić się, płakać, lecz żal niewymowny
Przykuł mi łzy do oka, a widok cudowny,
Jak całunem pokrytej lekką mgłą stolicy,
Podobnej do uspionej lub zmarłej dziewicy,
Co swym wdziękiem anielskim wszystkich zachwycała,
Lecz boleścią dotknięta niedawno skonała,
Oddalał się z mych oczu i zginął w przestrzeni,
Zakrywszy się kłębami mgły dżdżystej jesieni.
Tysiące myśli sprzecznych, tłocząc się w pamięci,
Rozrzewniały mą duszę i łzy mimo chęci
Popłynęły po twarzy obfitym strumieniem.
Dosyć długo jechałem pod takiem wrażeniem
Zatrzymując się tylko dla przeprzęgu koni.
Żandarm mój nie wypuszczał z ręki palnéj broni,
I popędzał woźnicę słowami i ręką.
Taka jazda z początku była dla mnie męką,
Bo kibitka moskiewska trzęsła bez litości.
Rozprostować nie mogłem moich biednych kości,
I czekałem noclegu z wielkiem upragnieniem.
Już się zmierzchło i księżyc swym bladym promieniem,
Zaczął ziemi przyświecać, gdym ujrzał zdaleka
Błyszczące się światełka. Znużona powięka
Już się sklejać zaczęła, i żandarm wytrwały
Dzióbał nosem powietrze, a konie parskały
Czując, że blizko stacya, gdzie ich owies czekał.
Usłyszałem nareszcie, że pies blizko szczekał,
I istotnie to była stacya dla noclegu.
Wzwyczajone już konie przyśpieszyły biegu,
Kibitka się zatrzęsła, woźnica przygwizdnął
Z radości, że już blizko. Konie batem liznął
I do ganku podleciał pędem błyskawicy.
Dozorca stacyi wyszedł z kawałątkiem świecy,

Digitized by Google

Otworzył nam pokoik czysty, opalony.
Po chwili do nas wrócił w towarzystwie żony
Z pościelą i kolacyą, lecz ja jeść nie chciałem;
Położyłem się zaraz i do rana spałem.
Zbudziłem się o świcie, żandarm mój się krzątał,
Jadł smaczno, i już trzeci kieliszek wyprzątał;
Noc całą spać się nie kładł; z pistoletem w ręku
Na końcu sofy siedział, jak jastrząb na sęku.
Ledwie świtać zaczęło, wszędzie podniósł trwogę,
Wypił wódki i w dalszą ruszyliśmy drogę.
Do trzęsącej kibitki już przywykłem wreszcie.
Żandarmi się zmieniali w każdem prawie mieście,
A lud, widząc kibitkę, zbierał się grupami.
Poczciwe Polki z okien machały chustkami,
I ze łzą w oku krzyżem świętym mię żegnały.
Wreszcie się i graniczne słupy pokazały,
Ja opuszczałem Polskę. Matko, żegnam Ciebie!
Może w kaukazkich górach trup mój wróg zagrzebie!
Może w pośród boleśnej tęsknoty i męki
Nie przyjdzie mi tam znaleść przyjacielskiej ręki.
Jedne tylko kajdany za miłość Ojczyzny,
Dźwiękiem swoim łagodząc serca mego blizny,
Przypominać mi będą straconą swobodę,
I ostatnie łzy matki i ojców zagrodę!
O, kajdany! jak wiele moich powinności
Przypominać mi macie w mej tęsknej przyszłości!
Ja was kocham, niedoli mojej przyjaciele,
Bo was noszę za Polskę, bo z wami tak wiele
O straconej przeszłości wspomnień się złączyło,
Że bez was wygnańcowi już tęskno by było.
A Polska i w kajdanach pokocha mię przecie,
Bo matka i w kajdanach kocha swoje dziecię!
O Litwo moja droga, tęskno mi bez Ciebie!
Czemuż umrzeć nie mogę, by swą śmiercią w Niebie
Wyjednać Tobie łaskę i grób Twój otworzyć,
Abyś dla mych rodaków szczęścia mogła ożyć?

Digitized by Google

Droga Matko! Twe dzieci dzielą Twą niedolę,
Każ im wziąść się do pracy by odzyskać wolę,
Bo krzywda Twoja woła o pomstę do Boga!
Bracia, z odwagą w duszy idźmy wprost na wroga!
Lepiej umrzeć od razu niż konać powoli!
Lepiej zginąć niż widzieć Ojczyznę w niewoli!...

I z duszy rozżalonej, nękanej przez wroga,
Wylała się błagalna modlitwa do Boga
Za nieszczęsnych rodaków, których opuszczałem,
I za Polskę — bo nad nią nic w świecie nie miałem,
O! gdybym wtenczas skonać mógł na polskiej ziemi,
Jakże byłbym szczęśliwym! bo między obcemi
Tułać się całe życie zdala od rodaków,
I należeć do zgrai kaukazkich żołdaków
Temu, co kraj swój kochał, tak jak ja kochałem,
Było gorszem od śmierci! Lecz próżno błagałem
O śmierć, jak o zbawienie grzesznik błaga Nieba,
Gdy poczuje, że wkrótce już mu umrzeć trzeba.
Ostatni raz zrosiłem łzami polskie łany,
Rzuciłem się na ziemię, i jak obłąkany
Przyciskałem do piersi zwilgotniały piasek!
Wkrótce potem rosnący nad granicą lasek
Zakrył przed mojem okiem żyzne polskie łany.
„Już nie ujrzę Cię więcej, Kraju mój kochany!“
Szeptałem sobie, jadąc po moskiewskiej glebie.
Spojrzałem kilka razy jeszcze po za siebie,
Lecz na próżno, za lasem nie widać nic było,
Myślałem, że to wszystko mnie się tylko śniło.

Podróż piesza.

Z Charkowa już nie jechać, ale iść kazali
Razem ze zbrodniarzami, których wysyłali
Do fortec na Kaukazie za nocne rozboje,
Lub za kradzież, i smutne położenie moje

Digitized by Google

Stało się gorszem jeszcze w tem szlachetnem gronie.
Na próżno próbowałem mówić w mej obronie,
Kazali mi zamilczeć, nie miałem co robić,
Bałem się, żeby jeszcze nie kazali obić,
I ruszyłem z nowemi memi kolegami.
Na pierwszej stacyi nogi starłem kajdanami
Tak, że nazajutrz z miejsca nie mogłem się ruszyć.
Boleść moja musiała mych kolegów wzruszyć,
Bo jeden z nich rzekł do mnie dosyć poufale:
„Widać, że na kajdanach pan się nie znasz wcale,
„Ja, co od lat piętnastu chodzę w nich ubrany,
„Jeszcze nie mam na nogach ani jednej rany,
„A pan stacyę przeszedłeś i już rany wszędzie!
„Czekaj pan! ja tak zrobię, że już dobrze będzie.“
To mówiąc, podszedł do mnie, podrapał się w głowę,
Krótkim sznurkiem przewiązał łańcuch przez połowę,
I w górę go podniosłszy, za sznur trzymać kazał,
Rozgrzał łój i potarte nogi nim namazał
A potem rzekł z uśmiechem: „Umiem radzić wbiédzie!
Teraz boleć nie będzie, niech pan śmiało idzie!
Tylko czasem gorzałki kup mi pan po drodze,
To i rany się prędko zagoją na nodze!“
Dzień mijał za dniem; z niewygodą drogi
Oswoiłem się prędko, skaleczone nogi
Zagoiły się dawno, lecz dusza zraniona
Zagoić się nie mogła wśród złoczyńców grona,
I gdy wszystkich już uspił twardym snem trud dzienny,
Jam zaczynał żyć wtedy i często bezsenny
Błąkając się myślami nad rodzinnym krajem,
Płakałem za Ojczyzną jak Milton za rajem.
I gorące łzy, ciężko spadając na ziemię,
Unosiły z mej duszy dziennej troski brzemię.
Nieraz, zabić nie mogąc dawnych wspomnień głosu
Dotkniętych obłąkaniem, zazdrościłem losu —
I jak z Niebios strącony w szatana krainy,
Przebiegając myślami przez szczęścia ruiny,

Digitized by Google

Dręczyłem się boleśną tęsknotą zgnębiony;
To zgrzytając zębami, jak tygrys zraniony,
Przysięgałem nienawiść i zemstę dla wroga.
Czasem nawet z rozpaczy sarkałem na Boga,
Bo jeźliż kiedy bolał, słysząc jęk niewieści,
Jeżeli Prometeusz doznawał boleści,
Gdy mu orzeł za życia serce rwał w kawały,
To cierpienia te dla mnie niczem się zdawały
W porównaniu z tą męką, którą ja cierpiałem.
O! czemuż, zamiast cierpieć, w tenczas nie skonałem?
I dziś jeszcze, gdy pamięć rozbudzi wrażenia
Mojej smutnej przeszłości, doznaję cierpienia
Takiego, że go pióro określić nie zdoła.

Przyszła zima, głęboki śnieg upadł do koła.
Don płynący spokojnie, przestraszony chłodem,
W śnieg się schował i grubym nakrywszy się lodem,
Zadrzemał, oczekując pomyślniejszej chwili;
A naddońscy mieszkańcy, co go wprzód bawili,
Ukryli się w stanicach i tylko czasami
Odwiedzać go przychodzą kozaczki z wiadrami.
Dla nas zimy nie było! od rana do nocy
Szliśmy grzebiąc się w śniegu. Nieraz wiatr z północy
Przywiewał nas do kości, niemieliśmy z chłodu.
Często ręce i nogi zimniejsze od lodu
Kostniały i traciły wrodzone swe czucie,
A kajdany, leżące po wierzchu na bócie,
Przyciągały chłód jeszcze i iść przeszkadza ły.
Stacye były dość duże, a dzień bardzo mały;
Musieliśmy więc ze snu podnosić się wcześnie.
Jeszcze ciche stanice pogrążone we śnie
Spoczywały po trudach, pies nawet nie szczekał,
W kłąb się zwinął i u drzwi leżąc, świtu czekał,

Digitized by Google

A my już dawno, depcząc śniegi zamarznięte
Po drodze monotonnej jak mary zaklęte
Pełzliśmy, przeraźliwie brzęcząc kajdanami —
Zadrżał byś pewno wtedy, spotkawszy się z nami.

Wielkanoc i dalsza podróż.

Do Chapiorskiej stanicy przyszliśmy już w nocy,
Jak dziś pomnę, w wigilię samej Wielkanocy.
Marzec to był i mrozy jeszcze silne trwały.
W oknach kozaczych chałup światła się migały,
Na ulicach jednakże było jeszcze pusto,
Zapach tylko tłustego pieroga z kapustą
Napotkać mogłeś wszędzie, bo chociaż uboga
Chata Dońca, lecz w takie święto bez pieroga
Nie obejdzie się zanic. Tam u nas na Litwie
W kościele lud przepędza ten dzień na modlitwie,
Ale za to nazajutrz aż stół się ugina
Pod ciężarem wybornych pieczeni i wina;
Bo stołem wielkanocnym też się Litwa sławi,
Rolnik nawet ubogi, gdy już stół zastawi,
To czego na nim nie ma? miód i baranina,
Ciasta różnych gatunków, wędzona słonina,
Doskonałe szpekuchy, głowizna wieprzowa,
I prosię nadziewane, i pieczeń wołowa,
Baran z masła zrobiony, i jaja święcone,
Gospodarski ser świeży, masło niesolone.
Wszystkiego dosyć suto, i jeźli kto zajdzie,
To serdeczną gościnność w każdej chatce znajdzie.
A cóż mówić dopiero o możniejszej klasie?
Lecz teraz opowiadać mi to nie na czasie.
Na Wielkanoc mieszkańcy Chapiorskiej stanicy
Po skończonej trapezie, chodząc po ulicy
Krzyczeli: „Chrystos woskres“ a dziewki i chłopcy
Całowali się z sobą. Nawet człowiek obcy

Digitized by Google

W dzień Wielkanocy wszystkich ma prawo całować.
W taki sposób tu zwykli sobie świąt winszować.
W południe przyszedł do nas w mundurze ubrany
Przełożony staniey, już trochę pijany,
Kazał stanąć nam razem i pytał z kolei,
A zaczął od stojących obok mnie złodziei,
Co ukradli i jaka ich kara spotkała?
Oświadczył, że ta kara jest dla nich za mała.
Potem do mnie się zbliżył, i spytał, co skradłem?
Język skonał mi w ustach, czułem, że pobladłem,
Lecz tłumiąc żal wewnętrzny, odrzekłem łagodnie,
Że na Kaukaz zesłano mię za stanu zbrodnię.
„Tak! ty buntowszczyk! wrzasnął porucznik pijany,
„Toś gorszy od złodzieja! nie takie kajdany
„Ja bym włożył na ciebie, przeklęty padalcze.“
„O nikczemna istoto! Ty carski służalcze!
Wszak knut twojego władcy, co twych braci smaga,
I na ciebie spaść może! Czyliż każda plaga
Wymierzona w twych braci nie rani ci serca?
Któż ich gnębi, jeżeli nie carat — morderca?
Kto trwoni pracę tylu milionów narodu!?
Car rzuca wszędzie złotem, a naród mrze z głodu!
Co wam z tego, że macie państwo tak potężne?
Wszak wszystko to zdobyły wasze hufce mężne,
A czy macie swobodę, którą inni mają!?
Spojrzyjcie! wami wszystkie ludy pogardzają!
A car im jest silniejszy, tem was więcej gniecie!
Pokażcie mi biedniejszych od siebie na świecie!
W rolniczych chatach nędza, po miastach niedola,
Wszędzie jęczy pod knutem skrępowana wola.
Macie prawa, lecz macie tylko na papierze,
A w rzeczy samej bezrząd, plagi i grabieże.
Od cara aż do popa, każden drze z was skórę,
Ministrowie czuwają, by przez ciemną chmurę
Oświaty promień do was nie zdołał się przedrzeć,
Czynownik każden myśli, jakby was obedrzeć.

Digitized by Google

Krew wasza od Kaukazu do Syberyi płynie,
Mordują was i grabią we własnej krainie.
Car Niemiec w waszym kraju, rządzi się Niemcami,
Wy, niosąc jarzmo innym, nosicie go sami!
Gdybyście mogli pojąć nieszczęsni żołdacy,
Że wolność, którą pragną odzyskać Polacy,
Im się słusznie należy, i wspólnemi siły
Uderzyli na carat, by gwałt do mogiły
Wtrącić razem ze zgrają jego hołdowników,
A zamiast krwią zdobywać nowych niewolników,
Pomyśleli o szczęściu swej własnej Ojczyzny,
Zgoiłyby się prędko despotyzmu blizny!
I kraj wasz, co dziś jęczy pod gniotem niedoli,
Uczułby się swobodnym, jak orzeł na woli.
Lud w swobodzie i szczęściu, wyszedłszy z ciemności,
Byłby silnym, a żyjąc w braterskiej miłości
Z tymi, których niewinną krew przelewał nieraz,
Używałby swych swobód. Was oburza teraz,
Że wam Polska do szczęścia chce pokazać drogę.
O! czemuż moich pojęć w was przelać nie mogę!?
Wtenczas zamiast niewinnych bliźnich napastować,
Wolelibyście swoich katów ....!
I ty, zacny rycerzu! co z taką wściekłością
Gromisz teraz me czyny, podałbyś z czułością
Wygnańcowi dłoń bratnią, by mu zmniejszyć troski,
Bo kochać swoich bliźnich kazał nam Syn Boski."
Tak marząc, u komina siadłem zadumany.
Przykrość, którą mi zrobił porucznik pijany,
Odjęła mi apetyt i humor zepsuła.
Jak na złość, jeszcze stary nieznośny gaduła,
Nasz gospodarz, wieczorem przyszedł w odwiedziny,
I zaczął opowiadać swe waleczne czyny
Z czasów polskiej kampanii trzydziestego roku;
Miał duży szram na twarzy i dwie kule w boku.
Polaków nienawidził, chociaż kilka razy
Darowali mu życie, ale tej urazy,

Digitized by Google

Którą nosił na twarzy i między żebrami,
Nie mógł nigdy zapomnieć, i bijąc pięściami
W stół, przy którym wyliczał waleczne swe dzieje,
Krzyczał, że to są łotry, rabusie, złodzieje!
Tak spędziłem dzień pierwszy owej Wielkanocy.
Nazajutrz, zwykłym trybem, jeszcze prawie w nocy
Ruszyłem w dalszą drogę, i jak tułacz wieczny
Od rana do wieczora nawet w dzień świąteczny
Wlokłem się, oczekując cierpień moich końca.
Już zaczęła się wiosna, i promienie słońca
Ogrzały zmarzłą ziemię. Rozpierzchły się chmury.
Zdaleka, jak olbrzymy, niebotyczne góry,
Wyniosłszy się wspaniale, tonęły w obłoku.
Stanąłem i własnemu nie wierzyłem oku.
To był Kaukaz, wygnania mojego siedlisko,
I te góry odemnie już były tak blisko!
Lecz czemuż one w chmurach kryją swoje głowy?
Czy czasem nie spostrzegły, że męczennik nowy
Przybywa na ich łono w troskach kończyć życie,
I, dzieląc moją boleść, chcą zapłakać skrycie?
O, jabym teraz gotów był rozpączać z wami!
Ale wy już od wieku jesteście świadkami
Ciągłych zbrodni, więc płakać wam by łez nie stało!
Wieleż to krwi niewinnej na was się wylało?
Kto policzy grobowce wiernych waszych synów?
Wiele tu Moskwa podłych dokonała czynów,
Szerząc mord i pożogi w ziemi waszej łonie?
Pozwólcie, niechaj z wami i ja łzę uronię,
Bo i moja Ojczyzna niedolą dotknięta,
Brocząc się we krwi własnej, dźwiga swoje pęta!

Daryalski wąwoz.

Od Baltyku do Kaspii, gdzie nie rzucisz okiem,
Boleścią wyciśnięte płyną łzy potokiem.
Wszystko jęczy pod knutem chciwego tyrana,
Wszędzie nędza grabieże, wszędzie krew rozlana.

Digitized by Google

Nieszczęściom nie ma końca, bo car zysku chciwy,
Rozstawił hufce zbrojne i jak Neron mściwy,
Co wysączył za życia wszystką krew z Seneki,
Pastwi się nad swym ludem, i przez całe wieki,
Prowadząc wojnę, we krwi kąpie się niewinnej.
Spójrz! jak tutaj zastępcy jego armii czynnej,
Najeżywszy bagnety, pełzną aż pod chmury,
By ujarzmić Czerkiesów krwią zbryzgane góry!
Nieszczęsny! mamże stanąć w szereg, chciwy łupów,
I razem z żołdakami brnąc po stosach trupów,
Podnieść rękę zbrodniczą na cudzą swobodę?
Prędzej palnę w łeb sobie, lub rzucę się w wodę,
Niżeli w pierś czerkieską ręka ma wystrzeli.
O biedni męczennicy! gdybyście wiedzieli,
Że cierpieć, a nie bić się, idę w wasze skały,
Wtenczas by się przyjaźnią dusze nasze zlały,
I zamiast być w żołdaków nienawistnem gronie,
Stanąłbym razem z wami w waszych praw obronie.
Lecz gdyby i tak było, to koranem świętym
Mahomet wam zabronił z giaurem przeklętym
Wchodzić w przyjaźń braterską dopóki świat światem;
Więc mi nawet nie wolno zostać waszym bratem?
I pogrążony w dumach nad moją przyszłością
Nie czułem jak dzień minął, a nocy ciemnością
Okryły się pagórki. Z za urwiska skały
Na błękit wpełzał księżyc i Kazbek wspaniały,
Pokryty wiecznym śniegiem, wzniósł w obłoki głowę,
By odwieczną z gwiazdami prowadząc rozmowę,
Czuwać nad śpiącą grupą swoich cór granitnych.
Terek, mrucząc piosenkę dziejów starożytnych,
W kamienistem korycie mgłą zakryty drzemał.
Grobowa cisza wszędzie, wiatr się nawet wstrzymał,
I obłoki wilgotne, co pełzły na skały,
Przerażone tą ciszą na wpół drogi spały.
Nazajutrz ruszyliśmy Daryalskim wąwozem.
Wszędzie grupy piechoty stojącej obozem

Digitized by Google

Pracowały nad drogą wijącą się w chmury.
Pod młotami jęczały granitowe góry,
Wyrzucając z swych piersi wydarte kawały.
Rozrzucone namioty po urwiskach skały
Ciągnęły się szeregiem, niby gród zaklęty,
Wąwóz drżał od pocisków i strachem przejęty
Ukrył się pod gęstemi kłębami kurzawy.
Wszędzie krzyk, stukanina, wszędzie pełno wrzawy;
Pomyślałbyś, że szatan tę piękną krainę
Wydarł ziemi i w piekieł przewrócił dziedzinę.
Na szczytach gór dostrzegłem starych twierdz ruiny,
Co skrywając w swem wnętrzu bohaterskie czyny
Walecznych synów Gruzyi, padły pod przemocą
Swej starości, nie wsparte ludzkich rąk pomocą.
Grobowcami usłana gęsto do nich droga
Świadczy, że nieraz napad przeważnego wroga
Odparła ich pierś mężna, broniąc wejścia w góry,
A sterczące w ruinach starożytne mury
Przechowały w swem łonie zardzewiałe szczątki
Spróchniałego żelaza, jakby dla pamiątki
Nieraz stoczonej walki w Ojczyzny obronie.
I jak bohater, który dopiero po skonie
Zaczyna żyć w historyi swoich czynów sławnych,
Tak i one pamiątki dziejów starodawnych
Przechowały, by w młodych pokoleń pamięci
Ożyć jeszcze, w ruinach leżąc, mimo chęci.
Bluszcz dziki pnąc się w górę obwija ich skronie,
Stary Terek posmutniał, że już w jego łonie
Nie ugasza pragnienia waleczna załoga,
I, jak gdyby unosząc swe wody od wroga,
Ucieka po kamieniach i w Kaspii się kryje.
Dziki szakal czasami na gruzach zawyje,
Lub z mogiły walecznie poległego syna
Sycząc żądłem, wypełznie zjadliwa gadzina.
Tuż nad drogą, co w skałach ręce ludzkie ryły,
Zamarzniętego śniegu zwiesiły się bryły,

Digitized by Google

Grożąc śmiercią przechodniom, bo gdy która czasem,
Oderwawszy się, padła na drogę z hałasem,
To nieszczęsny przechodzień i nie mrugnął okiem,
A już ginął pod masy śniegowej natłokiem.
Wszyscy jeżdżą ze strachem przez śniegową górę,
I jeżeli najmniejszą ujrzą nad nią chmurę,
To wracają się z drogi na sąsiednie wzgórza,
I czekają, nim minie grożąca im burza.
Ale za to, jak tylko śnieżną górę miniesz,
Wszędzie, gdzie tylko okiem ciekawem zawiniesz,
Porozrzucane wioski widnieją się zdala,
Mnóstwo drobnych gaików, i zielona fala
Buja po wzgórzach pyszną zarośniętych trawą.
Niedaleko i Tyflis, co groźną postawą
Nieraz wrogów przerażał, gdy go napadali.
Dziś zniewieściał pod rządem drapieżnych Moskali,
I dawnem tylko jeszcze szczyci się nazwiskiem.
Na teraz był on dla wnie ciekawem zjawiskiem,
Bo ztąd już do szeregów miałem być wysłany.
Sztab główny kazał ze mnie zaraz zdjąć kajdany,
I odesłać do pułku warszawskiego księcia.
Pierwszy raz w życium doznał takiego przyjęcia
Jak mię tu przyjął wtenczas dowódzca pułkowy —
(Pułkiem księcia dowodził Maniukin surowy.)

Przyjazd do Kusar.

Lędwiem przybył do Kusar, już kilku rodaków
Przybiegło mię powitać, bo garstka Polaków
Dowiedziała się zaraz o mojem przybyciu.
Spotkania tego nigdy nie zapomnę w życiu;
Rodacy, co już dawno byli wygnańcami,
Twarze ich, przedwczesnemi pokryte zmarszczkami,
Nosiły w sobie piętno długiego cierpienia.
Przyjazd mój w nich rozbudził uspione wspomnienia,

Digitized by Google

I tęsknota dręcząca męczenników duszę
Na bladych licach straszną odbiła katuszę.
Wszyscy mieli łzy w oczach, kiedy się witali,
I w otwarte objęcia z rąk do rąk mię rwali,
Jak gdyby już odwieczna przyjaźń nas łączyła;
Bo każda świeżo z Polski istota przybyła
Dla stęsknionej za krajem garstki wiernych dzieci
Była jakby promieniem słońca, co, gdy świeci,
Ciepłem swojem ogrzewa marznące już ciało,
Które tylko co z zimna życie skończyć miało.
Noc przeszła na gawędce aż do wschodu słońca,
Pytania z ust rodaków lały się bez końca:
Każden z nich chciał wieść jakąś o Polsce posiadać,
A trudno było zdążyć wszystkim odpowiadać;
Bo się tylu zebrało, że w dość sporej chatce
Jeszcze było za ciasno zebranej gromadce.
I wieleż to tej nocy rozmaitych marzeń,
Ileż to każden swoich opowiedział zdarzeń?
Wiele wspomnień każdemu stanęło w pamięci!?
Noc przeszła, a nikt do snu jeszcze nie miał chęci.
Na drugi dzień wezwany byłem do zwierzchności.
Maniukina zastałem w jakiejś wściekłej złości:
Był to człowiek, a raczej szatan w ludzkiem ciele,
Lecz i szatanów takich znajdzie się niewiele.
Pułk otrzymał w nagrodę swych walecznych czynów;
Miał żonę, adjutanta i dwóch małych synów;
Rozum — tylko na podłość i skradzione krocie:
Darł z biednych, władzy schlebiał i kąpał się w złocie;
Choć tchórzem był, nagrody odbierał za męztwo,
Żona nieraz pomogła mu odnieść zwycięztwo.
Przyjął mnie niezbyt grzecznie, i oświadczył razem,
Że ponieważ car swoim najwyższym rozkazem
Na szeregowca zesłać na Kaukaz mię raczył,
Przeto, on do kompanii strzelców mnie przeznaczył
Z tem, bym mieszkał w koszarach i na służbę wszędzie
Chodził tam, gdzie i każden żołnierz chodzić będzie.

Digitized by Google

Trzy lata przeszło byłem w takiem położeniu.
Odmianę mego bytu winienem zdarzeniu,
Które mi wcale inne stanowisko dało,
Dosyć znośne, a to się w taki sposób stało:
Z Syberyi przybył do nas jako szeregowy
Niejaki Gołowiński, człowiek dzielnej głowy,
Moskal wprawdzie, lecz chłopiec nadzwyczaj uczciwy.
Ojciec jego, jenerał, już starzec sędziwy
Miał rozległe stosunki i przez wpływy jego
Syn, co w sprawie Durowa i Pietraszewskiego
Był długi czas w kopalniach Syberyi więziony,
Teraz na Kaukaz ztamtąd został przeniesiony,
A nie lubiąc Moskali, połączył się z nami.
Gołowińskiego ojciec swojemi wpływami
Dopomógł mu i tutaj, bo we dwa tygodnie
Syn jego, co przysłany był za stanu zbrodnię,
Już posiadał protekcyę namiestnika kraju,
I Maniukin odebrał list tego rodzaju,
Jakie do swych podwładnych zwykła pisać władza
Wtenczas, kiedy jej proźba z prawem się nie zgadza.
Szczytem szczęścia list taki był dla Maniukina,
Ztąd się i zmiana losu naszego zaczyna,
Bo tchórzliwy Maniukin już Gołowińskiemu
Zaczął schlebiać ze strachu, by ten ojcu swemu
Nie napisał czasami o jego podłości.
Gołowiński zaś, będąc z nami w zażyłości,
Zrobił to, że Maniukin obchodził się z nami
Nie tak jak z zesłanymi, lecz jak z kolegami.

Digitized by Google

Digitized by Google

KAUKAZKA SZTABSKWATERA.

Digitized by Google

Kaukazka sztabskwatera.

Zaczynam od rodaków, których tu zastałem.
Już w pierwszy dzień przyjazdu z nimi się poznałem,
I w ich gronie szlachetnem znalazłem pociechę.
Wieczorami za zwyczaj gdzieś pod jedną strzechę
Schodziliśmy się wszyscy, tworząc swoje grono,
Bo wszystkich nas łączyło jednej Matki łono.
Więc żyliśmy jak bracia, a wspólne cierpienia,
Jedna dążność i wspólność sposobu myślenia
Związały nasze dusze węzłem nierozjemnym.
I dziś jeszcze wspominam z uczuciem przyjemnem
Te wieczory przy wspólnej przepędzone pracy.
Bibliotekę sporą już mieli rodacy,
Gdym ja przybył, bo tutaj tak się zwykle działo,
Że całe nasze kółko corocznie składało
Pewną kwotę pieniędzy na zakupno książek.
Dużo dzieł przysłał z kraju nam Albin Pieniążek,
Gdy powrócił z wygnania, i tak zrazu mała
Biblioteka polska, co rok się zwiększała.
Prócz tego jeszcze nasi bracia w innych pułkach
Mieli także zapasy książek w swoich kółkach,

Digitized by Google

Więc wspieraliśmy siebie wzajemną wymianą
I kiedy już jesienne wieczory nastaną,
Czytywaliśmy razem, aż do zimy końca;
Bo zaledwie promienie wiosennego słońca
Topiąc śniegi, możliwą zrobiły przeprawę,
Wyruszaliśmy w góry na letnią wyprawę,
I po różnych zakątkach kraju rozprószeni
Wracaliśmy do kwater już w późnej jesieni
Choć nie wszyscy, bo bardzo często się zdarzało,
Że wycieczki te życiem wielu przepłacało.
W sztabkwaterach kaukazkich bawią się wesoło,
Każda z nich ma dość spore familijne koło,
I jak tylko z wyprawy już wrócą Moskale,
Zaczynają się zaraz zabawy i bale,
Mają także i swoją amatorską scenę,
Lecz tak oryginalną, że najdroższą cenę
Zapłaciłby niejeden z istnych amatorów,
Żeby tylko zobaczyć tej sceny aktorów.
Bo trzeba znać kaukazkich oficerów żony!
Kiedym pierwszy raz ujrzał te naiwne wrony,
Które potem widziałem kraczące na scenie,
To zrazu mi się zdało, że senne marzenie
Skierowało tu mojej wyobraźni kroki
Na to, abym ze śmiechu zerwał sobie boki.
Towarzystwo sztabkwater właśnie się składało
Z tych miłych papug, których było tu niemało,
I z oficerów różnych stopni i godności.
Unikaliśmy przeto wszelkich znajomości,
Wymawiając się zawsze od zaprosin grzecznie,
A jeśli gdzie już trzeba było być koniecznie,
To szliśmy z wielkim wstrętem pomiędzy to śmiecie,
Bo nic rozwiąźlejszego nie widziałem w świecie
Nad kaukazkie moskiewki. Takie tam zgorszenie,
Że aż dusza się wzdryga na samo wspomnienie.
Panny uczą się pisać bez nauczycieli,
Bo zazwyczaj na listach do swych wielbicieli.

Digitized by Google

W trzynaście lat już każda jest panną skończoną,
I myśli tylko jakby prędzej zostać żoną;
A matki często, pragnąc córek swoich szczęścia,
Ułatwiają im same drogę do zamęścia,
Bo, gdy nie ma innego, a już pora przyjdzie,
To za matki kochanka córka zamąż idzie.
Mąż zaś potem frymarczy swą żoną otwarcie,
Lub, przegrawszy pieniądze, stawia ją na karcie.
Piękność żony i w sztabie wpływa na los męża,
Bo gdy żona swym wdziękiem serca władz zwycięża,
To tchórzliwy małżonek laury zwycięztw zbiera,
I częste za waleczność nagrody odbiera.
Bariatyński, Kaukazu namiestnik niedawny,
Z protekcyj swych w tym względzie był powszechnie sławny,
Bo kochając się w żonach, mężów ich z nicości
Podnosił do najwyższych krajowych godności.
W taki sposób Mielików z głupoty swej znany
Przykaspijski kraj sobie w zarząd miał oddany.
Za przykładem zwierzchności poszła władza niższa,
Teraz się tym sposobem wielu tam wywyższa.
W miastach więcej zepsucia jeszcze jak po pułkach
I dla tego Polacy zamknięci w swych kółkach,
Unikając towarzystw, oddali się pracy.
Czuwali także nad tem, aby ci rodacy,
Którzy jako rekruci na Kaukaz przybyli,
Tem powszechnem zepsuciem się nie zarazili,
I wracając do kraju nie wnieśli go z sobą.
By więc temu zapobiedz z duchowną osobą
Naradzili się szczerze; i Grodzki sędziwy,
Kapłan światły, i człowiek nadzwyczaj uczciwy,
Przyrzekł czuwać nad nimi i nauką wspierać.
Lecz kapliczka, gdzie na mszę przywykli się zbierać,
Dziesiątej nawet części w sobie nie wmieszczała.
Potrzeba więc kościoła niezbędną się stała,
A funduszów nie było na ten cel gotowych;
Trzeba więc było starań i zabiegów nowych,

Digitized by Google

By tę kwestyę załatwić za pomocą składki,
A w trzy lata już stanął zamiast nędznej chatki
Piękny kościół, gdzie garstka Polaków zebrana
W dnie świąteczne słuchała nauki kapłana.
Towarzystwo moskiewskie zrazu się krzywiło
Na to, że grono polskie tak od nich stroniło:
Ale nasza wytrwałość, idąc krok za krokiem,
Przerobiła to wszystko, bo zazdrości okiem
Wkrótce na naszą garstkę spoglądać zaczęli,
I jak muchy do miodu sami do nas lgnęli.
Raz pamiętam, gdy tylko do pułku przybyłem,
Przez zwierzchnika na obiad zaproszony byłem.
Zwierzchnik mój był kapitan, człowiek dość bogaty,
I od kilku miesięcy zaledwie żonaty;
Lecz bez śmiechu nie mogę wspomnieć jego żony.
Dziś gdy więcej z Kaukazem jestem oswojony
I w niej bym tyle może nie znalazł śmieszności,
Ale taki egzemplarz w pierwszej znajomości
Rozśmieszyłby każdego prostotą niewinną,
Widać, że chciała dla mnie być bardzo gościnną.
Dla tego nie czekając nim mię mąż przedstawi
Wyszła do mnie z pytaniem; „Pan tu długo bawi?
„Tylko co przyszedł ze mną;“ mąż jej odpowiedział.
„Głupi jesteś! mój mężu, i cicho byś siedział!“
Zamykając drzwi rzekła pani obrażona,
„Ty nawet nie rozumiesz o co pyta żona!
I odpowiadasz, kiedy nie pytają ciebie,
Ten pan przecie ma język, a więc sam za siebie
Odpowiedzieć potrafi! ja nie to chcę wiedzieć!
Ja proszę tego pana, by raczył powiedzieć
Czy dawno już jest w pułku?“ „Dni kilka,“ odrzekłem.
„A ja dawno już swemu mężowi przyrzekłam
Dać burę, że się wtrąca do mojej rozmowy,
Nie posłucha, dopóki niezmydlę mu głowy!
Jakże się panu życie nasze podobało?“
„Tutejsze życie jeszcze poznałem tak mało;

Digitized by Google

Że żadnego nie mogę o niem wydać zdania.“
„Masz pan racyę. Kusary są do zakochania,
Ale mają i one swoje niewygody,
Bo jeden wiatr z gór wieje, a drugi od wody;
Taki przeciąg na wszystkich ulicach niemiły,
Że opisać go panu brakuje mi siły.“
Wybuchłem pustym śmiechem. Lecz i moja dama,
Skończywszy opowiadać, rozśmiała się sama,
Myśląc, że mię dyskursem swoim zachwyciła.
Ale dosyć o tobie, moja sroko miła,
Bo wszystkieście do siebie nadzwyczaj podobne.
Takie to były tutaj kobiety nadobne:
Połowa ledwie czytać i pisać umiała,
A jednak wielbicieli każda dużo miała.
Był tu jeden oficer, chłopak jeszcze młody,
W randze sztabskapitana i niezłej urody,
Lecz w zakładzie wojskowym od dziecka chowany
Z towarzyskim zwyczajem nie był obeznany,
I często się zdarzało, że mówiąc z damami
Zamiast w chustkę nos wytrzeć, obszedł się palcami.
Są i damy niektóre, co ten zwyczaj mają,
Ale panny już wszystkie chustek używają.
I Pacewicz (tak zwał się ów Moskal pocieszny)
Dziwacznym im się wydał za swój zwyczaj śmieszny;
Prócz tego był niezgrabny, tańców nienawidził,
Kobiet bał się, i nigdy ich prawie nie widział,
Bo rzadko gdzie uczęszczał. Lecz chciało zdarzenie,
By ten rycerz się później zakochał szalenie
W pannie, która przeciwnie dość zgrabnie tańczyła,
I wielką zwolenniczką tańcujących była.
Zakochany Pacewicz zaczął więc pracować,
Żeby się jak najprędzej wyuczyć tańcować.
W naszem gronie natychmiast znalazł profesora,
Bo choć w biedzie, lecz zawsze młodzież figlów skora
Skorzystała z wypadku, co sam jej wpadł w ręce,
I Pacewicz dnie całe skacząc jak na męce

Digitized by Google

Myślał, że kontredansa tańczy francuzkiego,
A w rzeczy samej tańczył „byczka“ moskiewskiego.
Ukończywszy naukę, w najlepszym humorze
Młody rycerz miał tańczyć na pierwszym wieczorze.
Wkrótce nadszedł karnawał, zaczęły się bale
I myśmy poszli zwiedzieć resursową salę,
Bo choć żaden z zesłanych nigdy nie tańcował
Ale taniec rycerza tak nas zafrapował,
Żeśmy się wszyscy razem na ten bal wybrali.
Pacewicz niecierpliwie kręcił się po sali,
Czekając na przybycie panny Katarzyny.
Nareszcie się doczekał szczęśliwej godziny.
Już widział swą boginię, już mu obiecała
Pierwszego kontredansa; dostrzegł, że już chciała
Być dla niego grzeczniejszą po tej propozycyi
I był kontent nadzwyczaj ze swojej pozycyi.
Skończył się walec, kadryl za nim następował.
Parami ustawiony kwadrat się sformował,
Wreszcie wszystko gotowe, rozległ się głos smyczka,
I Pacewicz się puścił moskiewskiego byczka.
Wszystko śmiechem gruchnęło, i dokoła sali
Z krzykiem brawo, oklaski wszyscy mu sypali,
A panna Katarzyna, nie chcąc końca czekać,
Zaczęła od swojego tańcerza uciekać.
Pacewicz sam niewiedział co to mogło znaczyć,
I jak ucieczkę damy swojej wytłumaczyć;
Stał tylko przerażony swem niepowodzeniem,
I na wszystkich spoglądał z wielkiem zadziwieniem,
Rzekł nareszcie, gdy wszyscy już się uciszyli,
Że to jego Polacy tańczyć tak uczyli.
Nasz figiel bal ożywił, śmiały się papugi.
Kaukazki bal był tylko teatru tom drugi:
Pstrokacizna okropna, sądziłbyś z ubiorów,
Że to była wystawa najdzikszych kolorów.
Figurki mają damy nie do opisania,
Bo choć często pękają sznury od ściskania,

A jednakże są jeszcze takiej objętości,
Że stan równa się prawie bioder szerokości.
Z ubioru była każda podobna do tęczy.
Tak lekkie, że gdy tańczą to aż ziemia jęczy.
Nabielone okropnie i wszystko, co mają
Z kosztownej biżuteryi, na siebie wkładają,
Choć bez gustu żadnego, byle było złoto,
Każdej bowiem najwięcej tylko chodzi o to,
Aby błysnąć dostatkiem, którego nie mają,
Bo ubóstwem tu zwykle wszyscy pogardzają.
A chociaż niezbyt liczne towarzystwo było,
I to jeszcze na kilka partyj się dzieliło.
Damy idąc za służby wojskowej zwyczajem
Rangami swoich mężów czciły się nawzajem,
A gdy starsza do młodszej od siebie mówiła,
To wstawała ta, która niższą w randze była,
Jednakże, gdy kochanką jest ważnej figury,
To i starszą od siebie już traktuje z góry.
Tryb życia społecznego sztabkwater pułkowych
Dziwacznym się wydaje dla przybyszów nowych,
Bo służba i w prywatnem życiu czuć się daje.
Naczelnik naczelnikiem wszędzie pozostaje,
Każden krok ma na celu służebne korzyści.
Gościnności tam żadnej nie ma rzeczywiście,
Bo gościnnie przyjmuje każden tylko tego,
Co na służbie potrzebnym być może dla niego.
Służba wszędzie na balach, w domu, na ulicy,
Służą wszyscy, a nawet damy i dziewice,
Choć mundurów nie noszą na służbie się znają.
Wszystkie prawie z widoków tylko się kochają,
Bo jedna w pułku męża, druga ma krewnego
Każda więc łaskę władzy skarbi dla swojego.
Matka nim zacznie córkę wywozić na bale
Uczy ją przedtem, z kim być obojętną wcale,
W kim udać zakochaną, z kim tylko być grzeczną;
Dla kogo znowu więcej albo mniej serdeczną,

Digitized by Google

O czem mówić w kadrylu ze swoim tancerzem.
Ale czy jej córeczka już zna się z pacierzem?
Czy choć czytać i pisać umie nim w świat wyjdzie,
Żadnej z matek to nigdy i na myśl nie przyjdzie?
Panna z domu wychodzi kompletnie zgorszoną
I w ślady matki idzie, gdy zostanie żoną,
A nawet bardzo często jeszcze przed zamęściem,
W panieństwie już się cieszy familijnem szczęściem.
Tęskno było za krajem pośród tych Moskwiczów.
Dom Cyrenów, Szpadkowskich i państwa Szawiczów,
Trzy domy te jak gwiazdy na pochmurnem niebie
Jaśniały, i swym wdziękiem wabiły do siebie
Przygnębione tęsknotą dusze swych rodaków.
Były to trzy familije szlachetnych Polaków
Skazane na wygnanie, chwała ich imieniu!
Czcią się dusza napełnia przy samem wspomnieniu
O tych drogich relikwiach, wielbionych przez ziomków!
Ze wszystkich stron Kaukazu pod strzechę ich domków,
Ściągali się rodacy wygnani z Ojczyzny,
Każden z nas na ich łonie goił serca blizny,
I pokrzepiał swą duszę znękaną cierpieniem;
A jak poeta, silnem owiany natchnieniem,
Pod wpływem jego śmiało oddaje się pracy,
Tak i od nich wracali natchnieni rodacy
Do nowych mąk i cierpień z wytrwałością nową.
Rozłączeni na zawsze z zagrodą domową,
Pod trzech naszych rodaków jednocząc się strzechą,
Wspieraliśmy się wszyscy wzajemną pociechą.
Trzy domy te, choć były od siebie nie blizko,
Lecz każden z nich stanowił oddzielne ognisko
Wygnańców z Dahestanu i Czeczni zebranych.
Trzy więc były ogniwa Polaków zesłanych,
Ale miłość braterska w łańcuch je spoiła,
I z garstki rozprószonej całość się zrobiła.
Całość ta, silna swoim duchem niezachwianym,
Zdumiewała Moskali przykładem nieznanym.

Digitized by Google

Prawości, poświęcenia i bratniej miłości.
Solidarność pomogła do wyjścia z nicości,
W którą ręka caratu zagrzebać ją chciała;
A jak iskra piorunu, co na pozór mała;
W proch obraca olbrzyma, gdy jej bieg tamuje,
Tak i całość ta drogę, gdy sobie toruje,
Chociaż mała na pozór, potęgą swej duszy
Stokroć przeważnych wrogów przedsięwzięcia kruszy.

Digitized by Google

ŚMIERĆ KULIKOWSKIEGO.

Digitized by Google

Digitized by Google

Śmierć Kulikowskiego.

Nie wierzyłbym, lecz własne oczy me widziały
Jak w kije uzbrojone dwa szeregi stały
Przeciwległe, do siebie obróconę twarzą.
Obok nich, stary żołnierz, otoczony strażą,
Klęcząc, słuchał wyroku, na mocy którego
Car baczny na zasługi żołnierza starego
Zamiast kary śmiertelnej, na którą sąd skazał.
Dziesięć tysięcy kijów wyliczyć mu kazał.
Zaraz wszystkie kazano szaty zdjąć z biednego,
Potem kilku żołnierzy, zupełnie nagiego,
Do karabina ręce przywiązawszy, wzięło
I pomiędzy stojące szeregi wciągnęło.
Trysnęła krew z pod kijów smagających ciało.
Każden bił co miał siły, bo za frontem stało
Kilku podoficerów, i gdy zły raz dawał
Którenkolwiek z żołnierzy, to kreskę dostawał;
I za to, że wypełniał źle rozkazy cara,
Spotykała go potem najsurowsza kara.
Cały we krwi zbroczony szedł starzec sędziwy,
A kije się sypały na grzbiet nieszczęśliwy.
Wreszcie upadł zemdlony, bo już zbite ciało
Z pod razów kawałami na ziemię padało,
Żołnierze zemdlonego jednak dalej wlekli
Skonał już, i zmarłego jeszcze długo siekli.
Przestali, gdy wyrokiem kara przeznaczona,
Co do jednego kija była wyliczona.

Digitized by Google

Męczennik ten był Polak, rodem z Wielkiej Woli,
W trzydziestym pierwszym roku wzięty do niewoli.
Zanim śmiercią męczeńską zeszedł z tego świata,
Kulikowski przesłużył dosyć długie lata
W szeregach hord moskiewskich jako szeregowy.
Na śmierć za to skazany był przez sąd polowy,
Że nie mogąc już znosić niesłusznych tyranij,
Publicznie w twarz uderzył dowódcę kompanii.
Szamardin się nazywał rycerz bierzmowany.
Tyran ten, w całym pułku z barbarzyństwa znany,
Feldfeblowi swojemu oddawał zlecenia,
By mu zrana dostarczał ofiar do ćwiczenia.
Gdy więc który z żołnierzy w czemkolwiek zawinił
Feldfebel zadość woli komendanta czynił,
I jak tylko Szamardin siadał do herbaty,
Pod oknem winowajcom wyliczano baty:
A nigdy wprzód zaprzestać nie kazał smagania,
Dopóki nieukończył swojego śniadania.
Tak dwanaście dni zrzędu bił Kulikowskiego
Za to, że nie zdjął czapki przed mieszkaniem jego;
A gdy karę i nadal przedłużać zamierzył,
Kulikowski z rozpaczy pięścią go uderzył
I zginął pod kijami. A wieleż to innych
W taki sposób zginęło tu ofiar niewinnych!?

Digitized by Google

ZEMSTA ESKIEGO.

Digitized by Google

Digitized by Google

Zemsta Eskiego.

Już się Dahestan zagrzebał w śnieg biały,
I z gór na zimę moskiewskie oddziały,
Do swych sztabkwater ciągnęły po mrozie,
A nasz batalion został się w obozie
Odpierać jeszcze Czerkiesów nabiegi,
Dopóki głębsze nie upadną śniegi.
Bo gdy już góry przyciśnie mróz srogi,
I śniegi głębsze upadną na drogi,
Wtenczas Dahestan tylko odpoczywa.
Komunikacya w górach się przerywa,
Na pograniczu ustają napady,
I koń Czerkiesa, nieświadomy zdrady,
Spokojnie w stajni żuje garść obroku,
Lub się leniwie wylega na boku.
Na ścianie szaszka spoczywa zakryta,
Gwintówka w kącie stoi nienabita;
Tylko pistolet przy boku zatknięty,
I sztylet w pochwę kosztowną ujęty,
Wierny przyjaciel w bitwach i pokoju,
Nie schodząc z pasa, wyczekują boju.
Płomieniem w saklach pałają kominy.
Po trudach Czerkies na łonie rodziny
Spokojnie gwarzy ze swemi żonami,
Lub przy kominie bawi się z dziatkami;
Ale gdy tylko wykryje drożynę,
Którą się można dostać na dolinę,

Digitized by Google

Rzucając saklę i żonę i dzieci,
Wśród ciemnej nocy do granicy leci
Szerzyć w aułach moskiewskich pożogę.
Moskwa więc musi wszędzie mieć załogę,
I gdy już w zimie z pozycyi żołnierze
Schodzą do kwater na zimowe leże,
Dla pogranicznych mieszkańców obrony
W aułach stawia swoje bataliony,
Aby mieszkańców broniły od najścia.
Nasz więc batalion na wypadek zajścia
Zasłaniać Kumuch, był obowiązany.
Kiedy już w górach spadł śnieg pożądany,
Mrozy jesienne zamieniły słoty,
Zwinąwszy swoje płócienne namioty,
Do ciepłych sakli ruszyliśmy żwawo.
Nad bystrą rzeką od drogi na prawo
Stał Kumuch, sławny ze swej waleczności,
Nie cierpiąc Moskwy i moskiewskich gości
We wnętrze swoje przyjmował ze wstrętem,
Bo sam był w stanie zmierzyć się z natrętem.
Już kilka razy jarzmo zdjąć próbował,
I dosyć długo z Moskwą się mocował,
Wreszcie zniszczony, choć uległ przemocy,
Ale nie cierpiąc giaurów z północy
Był przekonany, że strzedz go od zdrady,
A nie odpierać Czerkiesów napady,
Po saklach staje moskiewska załoga,
Chan zaś kumuchski, zjednany przez wroga,
Najchętniej spełniał Moskali życzenia,
I nasz batalion z jego polecenia
Otrzymał sakle zaraz po przybyciu.
Do tego czasu jeszcze nigdy w życiu
Być wśród Czerkiesów mi się nie zdarzało.
Język ich wtenczas znałem bardzo mało;
Zwyczajów wcale nie byłem świadomy,
Zdaleka tylko widziałem ich domy,

Digitized by Google

I zajrzeć do nich miałem chętkę nieraz.
Zręczność ta mi się nadarzyła teraz,
Bo mój gospodarz na drugi dzień zrana
W beszkieszu przysłał mi naprzód barana,
A potem przyszedł zapoznać się ze mną.
Trzeba więc było grzecznością wzajemną
Zapłacić grzeczność Czerkiesa starego;
Inaczej mógłby mnie wziąść za dumnego.
Zaraz więc beszkiesz za beszkiesz posłałem,
A we dni kilka wizytę oddałem.
Czerkies z beszkieszu był uszczęśliwiony.
Zaledwiem przyszedł krzyknął na swe żony,
Żeby co prędzej robiły śniadanie;
Sam zaś, usiadłszy ze mną na dywanie,
Starym sztyletem w kominie poprawił
I do śniadania dyskursem mię bawił.
A jeślim czasem czego nie zrozumiał,
To tak na migi wytłumaczyć umiał,
Że wnet pojąłem każde jego słowo,
Jak gdyby mówił mą ojczystą mową.
Radżab, tak zwał się gospodarz sędziwy,
Był człek dostatni i wielce uczciwy.
W aule słynął ze swej gościnności,
Miał także duży zapas wiadomości,
Bo na wojaczce spędził młode lata,
I jak powiadał — widział kawał świata,
Kiedy proroka zwiedzał grób daleki;
A chociaż dawno już powrócił z Mekki,
Wciąż jeszcze swoją wycieczkę wspominał,
I każden dyskurs od Mekki zaczynał.
Familię Radżab miał nie bardzo liczną,
Syna, dwie żony i córeczkę śliczną,
Syn był na gumnie, córka dywan tkała
Lub z krasomowstwa mojego się śmiała,
Kiedym z Radżabem prowadził rozmowę,
Czasem ukradkiem wychylając głowę

Z pod białej czadry, rzuciła spojrzenie.
Czarne jej oczy jak słońca promienie
Błysnęły tylko i zaraz znikały,
Wracając nazad pod swój woal biały.
Żony w alkierzu robiły śniadanie,
A stary Radżab, siedząc na dywanie
Kawałki drzewa na ogień podkładał,
I o zwyczajach swoich opowiadał.
Bo Kaukaz także, jak i inne kraje,
Ma uświęcone przez przodków zwyczaje,
Do których każden ściśle się stosuje.
Tu zwyczaj jeszcze prawo zastępuje,
Czerkiesi bowiem żadnych praw nie mają,
I prawodawstwa innego nie znają,
Jak tylko „adat“ to jest zwyczaj stary.
Wszyscy mu święcie dochowują wiary,
Bo każden w domu adatem się rządzi.
Według adatu sąd zbrodniarza sądzi,
Podług adatu wymierza się kara,
Z adatem ściśle jest złączona wiara,
I kto z Czerkiesów adat przeinacza,
Ten łamie wiarę i prawo przekracza.
Dla tego właśnie przez tak długie lata
Przeniknąć tutaj nie mogła oświata,
Że zwyczaj gwałci osobiste prawa.
Na tego bowiem spadłaby niesława,
Kto stary zwyczaj przodków wykorzenić,
Lub nowym lepszym chciałby go zamienić.
Czerkiesi jeszcze jako muzułmanie
Winni znać tylko to, co jest w koranie,
Bo prorok mówi, że ten niebo straci,
Kto siebie wyższą nauką zbogaci
Nad tę, co koran w sobie obejmuje.
Więc wiara jeszcze oświatę tamuje,
I naród w cnoty rycerskie bogaty,
Wielbiąc swój koran i swoje adaty

Digitized by Google

Drzemie w ciemnocie przodków pogrążony.
Dotychczas jeszcze kupują się żony,
I jak dziad niegdyś gardził widelbami,
Tak i wnuk dzisiaj jeszcze je palcami.
Z kobiet nie spadły dotychczas zasłony,
Dotychczas jeszcze nieszczęśliwe żony
Wyjść nie zdołały ze swojej nicości;
Wszystko spoczywa w pierwotnej dzikości.
Fanatyzm tylko wzrasta niepomiernie.
I Radżab stary, dochowując wiernie
Praojców zwyczaj, chociaż był bogaty,
Lepszej od innych nie budował chaty.
Siedział na ziemi, albo na dywanie,
A gdy jadł ze mną podane śniadanie,
W dowód największej dla mnie uprzejmości,
Z miski kawałek baraniej tłustości
Wziąwszy palcami do ust mi położył
Z życzeniem, abym szczęśliwie go spożył.
Chanowie nawet, gdy z gośćmi jadają,
W ten sposób łaski swojej dowód dają,
A jeśli ręka nie dosięga gości,
To oderwawszy szmat mięsa od kości,
Na drugi koniec rzucają dywana;
Ten zaś, na kogo spadła łaska chana,
Mięso rzucone chańskiemi palcami
W powietrzu złapać powinien ustami.
Kobiety zwykle oddzielnie jadają,
I przed mężczyzną każdym się chowają;
Chyba, że jest już w zbyt podeszłym wieku.
Ale i wtedy przy obcym człowieku
Choć się nie kryje, jednakże zasłony
Zdjąć nie ma prawa. I Radżaba żony
Zaledwie tylko śniadanie podały,
Wzięły swą córkę i gdzieś się schowały
Tak, że dnia tego już ich nie widziałem.
Lecz, gdy Radżaba konachiem zostałem,

Digitized by Google

Skrywać się jego przestała rodzina,
I nieraz wieczór cały u komina
Córka i żony przepędzały ze mną.
Córeczkę Radżab miał bardzo przyjemną,
I jak sam wszędzie ze swej gościnności,
Tak Badży jego słynęła z piękności.
Prócz tego zgrabnie tańczyła, śpiewała
A choć piętnastu jeszcze lat nie miała,
Podziwiać mi się nieraz przychodziło
Z jaką energią to dziecko mówiło
O nienawiści swojej dla Moskali.
Gdyśmy raz wszyscy o nich rozmawiali
Badży mi nagle zrobiła pytanie:
„Powiedz mnie, bracie! czy jest w tym koranie
Któren wyznają giaurzy z północy,
Że napastować bliźniego w niemocy
Ałłach pozwala, i nie grozi karą
Za to, że naszą pogardzając wiarą,
Przyszli nas męczyć bez żadnej przyczyny?
Spójrz w nasze góry jakie tam ruiny!
Jak płaczą matki, jak płynie krew wszędzie!
Czyliż giaurom za to nic nie będzie?“
„Jeśli ich ałłach mordów im nie broni,
To sam jest giaur tak podły jak oni!
„Przeciwnie“ rzekłem, „Chrystusa zasadą
Jest kochać bliźnich, lecz Moskal za radą
Ałłacha swego nie zwykł postępować,
Bo Chrystus kazał bliźniego miłować
Jak siebie samych i wspierać w niedoli,“
„A więc giaurzy wbrew Ałłacha woli
Grabią nas? „rzekła Badży z oburzeniem
„Z jakiemże oni zjawią się sumieniem
Zdać Ałłachowi sprawę ze swych czynów;
Czemu nie pożre ziemia takich synów?
Lub czemu w łonie matek nie skonali,
Nim wolę swego Ałłacha złamali?!

Podli giaurzy, niech świat prędzej ginie!
Wtenczas im za krew, co z naszych serc płynie,
Szatan gorącą smołę w usta wleje,
I palić będzie nim każden nie stleje!
Za bryłę złota tak wielką jak góra,
Ja bym nie chciała być żoną giaura!
Nie wiem jak matki im córki sprzedają,
I jak giaurki swych mężów kochają?"
„Nie, Badży miła! giaurów zwyczaje
Są wcale inne, bo tam ojciec daje
Posag swej córce, gdy zamąż wychodzi."
„A, to już wstydu granicę przechodzi!"
W gniewie krzyknęła Badży oburzona,
„Czy tam miłości własnej nie ma żona?
Bo u nas, jeśli owcę kto sprzedaje,
To za nią płatę bierze, a nie daje;
Więc u nich żona tańszą jest jak zwierzę?!
Ty żartem mówisz, ja temu nie wierzę."
„Tak jest z pewnością," rzekł Radżab do córki,
„A, jeśli tak jest, to biedne giaurki,
Zwierzęcej nawet nie mają wartości;
Bo jeśli Czerkies mię kupi z miłości,
To jestem pewną, że kocha już szczerze,
A kiedy giaur od rodziców bierze,
Pieniądze za to, że się z córką żeni,
To jakże zgadnąć, co on więcej ceni,
Czy przyszłą żonę, czy grosz rodzicielski?"
Nagle się przerwał jej głosek anielski,
Bo drzwi skrzypnęły i starzec zgrzybiały
Wszedł niespodzianie, więc kobiety wstały,
A Radżab, rękę podając gościowi,
Pytał o zdrowie. „Chwała Allachowi,
Odrzekł mu starzec" żyję jeszcze przecie,
Choć oprócz zgryzot już nic na tym świecie
Mnie nie zostało, bo wszystko straciłem!
Ostatni syn mój, którym tylko żyłem,

Digitized by Google

Zginął niedawno w obronie swej wiary,
I dzisiaj jeden niedołężny stary
Przez wroga własnej pozbawiony strzechy,
W cierpieniach nowych, szukając pociechy
Jak sęp samotny tułam się po skałach,
Albo dnie całe po za wsią na wałach
Siedzę i mścić się nie mając już siły,
Patrzę się tylko na synów mogiły
I na starego aułu ruiny,
Którego ze mną broniły me syny.
Naszli nas wtedy giaurzy przeklęci;
Ten dzień okropny utkwił w mej pamięci,
Sam nie wiem nawet jak ja go przeżyłem,
Bo w dniu tem czterech synów mych straciłem,
Żona i córka w niewoli skonały.
Lecz jeszcze został mój Izmael mały,
Ostatni syn mój, ostatnie me dziecię!
Dzisiaj nikogo już nie mam na świecie!
Wszystko, co miałem, wydarł mi wróg srogi, —
Zawczoraj zginął mój Izmael drogi
Mnie tylko został smutek i włos siwy!“
Wyjęczał z żalem starzec nieszczęśliwy,
I łzy przystygłe do powiek zapadłych
Płynąć zaczęły po policzkach zbladłych.
Badży w milczeniu o ścianę się wsparła,
Białą swą czadrą skrycie łzę otarła,
Bo Izmaela kochała nad życie;
Lecz brat jej, Eski, łzę płynącą skrycie
Dostrzegł i odgadł, co się w duszy działo,
Nieszczęsnej siostry, bo i sam nie mało
Cierpiał po siostry Izmaela skonie.
I zemsta wrząca w jego mściwem łonie
Zawrzała silniej, siostry łzą dotknięta,
W twarzy Eskiego nagle niepojęta
Radość i boleść razem się odbiły.
Jak gdyby troski, co duszę gnębiły.

Digitized by Google

W pamięci jego znikały powoli,
I tylko cząstka jakaś mimowoli
Dawnego smutku jeszcze się została,
Ale za chwilę i ta zniknąć miała.
Nareszcie powstał; zbliżył się do matki
I rzekł jej: „Może już do waszej chatki
Eski nie wróci, bo śmierć Ismaela
Wzywa do zemsty jego przyjaciela!
Jutro więc od was wyjeżdżam o świcie,
Odemszczę wrogom, lub sam stracę życie.
Jestem swobodny — nie mam żony, dzieci,
A słońce wszędzie jednakowo świeci!
Wszędzie są ludzie i Ałłach jest wszędzie.“
„Łaska Ałłacha niechaj z tobą będzie!
Rzekł stary Radżab,“ jesteś prawowiernym,
Więc idź, mój synu! a jeśli z niewiernym
Giaurem w boju przyjdzie się ci zginąć,
To imię twoje będzie w górach słynąć,
A duszę Ałłach zabierze do siebie,
Umrzesz na ziemi, lecz ożyjesz w niebie!“
Matka Eskiego zalała się łzami,
A piękna Radży drobnemi rączkami,
Objąwszy szyję kochanego brata,
Płacząc, żegnała go na długie lata.
Milczący dotąd ojciec Ismaela
Za rękę ścisnął syna przyjaciela.
I broń swą zdjąwszy, oddał ją Eskiemu
Mówiąc: „Ten oręż synowi mojemu
Miałem zostawić, jam go odziedziczył
Od mego ojca, gdym dziesięć lat liczył.
Jak dziś pamiętam: ojciec z bitwy wrócił
Ciężko raniony, lecz nim świat porzucił
(Bo we dni kilka umarł od tej rany)
Rzekł do mnie: „Tobie synu mój kochany!
Ten oręż daję. Nim walczyłem nieraz,
Ty jeszcze bardzo młody jesteś teraz,

Digitized by Google

Lecz gdy wyrośniesz, dobądź go w potrzebie,
Krew ojca pomścić należy do ciebie!“
Mówił i skonał. Ja jeden zostałem,
Długo po cudzych kątach się tułałem,
Dorosłem wreszcie i nabyłem siły,
A słowa ojca głęboko utkwiły
W mojej pamięci i zemsta szalona
Jak żmija wpełzła do mojego łona,
Straciłem pokój, bo we dnie i w nocy
W oczach mi stali giaurzy z północy;
I biedny ojciec krwią zbroczony cały.
Wtedy to właśnie moskiewskie oddziały
Jermołow w nasze naprowadził góry,
Nad krajem straszne zbierały się chmury;
Nagle auły wszędzie opuściały,
Bo się w nich same kobiety zostały,
A kto był tylko podjąć oręż w stanie,
Szedł z męstwem w duszy na wrogów spotkanie.
W wąwozach cichych zaryczały działa,
Po całym kraju walały się ciała
Poległych w boju, ciekła krew strugami...
Podły Jermołow pastwił się nad nami.
Mordował starców, dzieci w pień wycinał,
Żonom rycerzy piersi sam odrzynał,
Chciał nas ujarzmić swojemi mordami!
Wtedy raz pierwszy, mszcząc się nad wrogami,
Jak dziki tygrys rzucałem się wszędzie,
I ten to sztylet, zemsty mej narzędzie,
Serca giaurów szarpał bez litości.
Pływałem we krwi nieproszonych gości!
Moskiewskiem ścierwem głodne psy karmiłem!
Na sercach wrogów sztylet mój stępiłem,
A zemsta, w duszy rozjątrzonej wrząca
Pałała jeszcze, jak smoła płonąca!
I słowa ojca ciągle w uszach brzmiały.....
Trzy nasze chaństwa już w gruzach leżały;

Digitized by Google

Gdy z gór Jermołow został odwołany;
Ja zaś w tym czasie dostałem dwie rany,
Rok cały od nich w Giumwrach się leczyłem.
Wreszciem wyzdrowiał. Tam się ożeniłem,
Sześcioro dzieci powiła mi żona.
Krew ojca mego była już pomszczona,
Lecz w kraju walka znów zawrzała sroga,
Wszystko, co żyło, znów poszło na wroga,
I ja poszedłem bronić nasze skały.
Trzy już auły tylko pozostały,
Ale Ałłacha widać gniew przeminął:
W Giumrej nasz imam Kazimollaj zginął:
Ciężka to była dla nas wszystkich chwila.
W tem naród obrał imamem Szamila.
W tych samych Giumrej, które wróg szturmował,
Szamil się rodził, i tam się wychował,
Tam władzcą kraju był przez lud obrany,
Gdy Kazimollaj przestał żyć od rany:
Więc zemstą zdjęty na giaurów ruszył,
Trzykroć silniejszą armię wrogów skruszył
Tak, że niewielka ilość z niej została.
Słysząc to, zaraz Awarya powstała,
Obiedwie Czecznie i Bortunaj sławny.
W sercu narodu znów duch ożył dawny,
Drogi giaurów słały się trupami,
Lud nasz zrzuciwszy kajdany, ze łzami
Wracał bezludne zamieszkać auły.
Z różnych stron ciężko najuczone muły
Wiozły przed wrogiem ukryte dostatki,
I ja zabrawszy mą żonę i dziatki
Do zagród moich wróciłem pradziadów.
Na próżnom szukał naszej sakli śladów:
Kamieni nawet z niej się nie zostało,
Miejsce, gdzie stała, w chwast pozarastało,
I szczury w norach starych się gnieździły.
Lecz w mej pamięci natychmiast ożyły

Digitized by Google

Dawne wspomnienia, choć po ojca zgonie.
Pół wieku prawie nie byłem w tej stronie.
W miejscu tem samem, gdzie straciłem matkę,
Z pomocą dzieci zbudowałem chatkę;
I w niej osiadłem ze swoją rodziną,
Nigdym nie myślał, że me dzieci zginą;
Wprzód nim ja umrę, lecz przyszedł wróg srogi
Zabrał mi wszystko. Mój Izmael drogi
Jeden się z licznej ocalił rodziny,
I on już zginął, mnie tylko ruiny
Szczęścia zostawił pułk Czawczawadzego.“
„Więc wina cała niech spadnie na niego,
Rzekł Eski, starca przerywając mowę,
„Zemszczę się nad nim, albo moją głowę
Szaszka gianra od karku odłączy.!“
Nazajutrz zrana koń Eskiego rączy
Pędził jak strzała pomiędzy skałami.
A piękna Badży, modląc się, ze łzami
Łasce Ałłacha polecała brata.
Byłem w Kumuchu potem we dwa lata,
W domu Radżaba nic się nie zmieniło,
O Eskim tyle tylko słychać było,
Że z waleczności słynął w Dahestanie,
W tem w Zakatałach wybuchło powstanie,
Szamil wszelkiemi siłami je wspierał;
Już się do fortec moskiewskich dobierał,
Trzykroć rozbity książę Orbeliani
Skrył się w okopach. Moskale znękani
Licznemi klęski, upadli na duchu,
A wieść o klęskach i nowym rozruchu
Wstrząsała góry. Moskiewskie oddziały,
Do granic Turcyi już wyruszyć miały,
Bo wojna Moskwie groziła z tej strony.
Wtem przyszedł rozkaz, żeby bataliony,
Któremi miano granicę zasłonić,
Szły jak najprędzej Zakatały bronić,

I nasz pułk cały w Kumuchu zebrany
Do tej wyprawy został powołany.
Poczciwy Radżab pożegnał mię czule
I rzekł: „Gdy wrócisz, może w tym aule
Już moja mieszkać nie będzie rodzina,
Bo ojcu ciężko na starość bez syna,
On tutaj nigdy nie może powrócić!
Myślę więc Kumuch na wiosnę porzucić.“
A piękna Badży szepnęła mi z cicha:
„Mój bracie! nie wiem po jakiego licha
Ty się masz włóczyć z temi giaurami,
Ucieknij od nich i zamieszkaj z nami,
Przyjm naszą wiarę, zostań prawowiernym,
Szamil nie wyda cię wtenczas niewiernym.
U nas nie będzie ci zbywać na chlebie!
Jeżli zaś więcej nie zobaczę ciebie,
Jeźli w giaurów zostaniesz niewoli,
To niechaj Ałłach szczęści twojej doli!
Badży myślami wyszuka cię wszędzie,
A jej modlitwa zawsze z tobą będzie!“
Wtem po szeregach bębnów głos ponury
Zabrzmiał, wnet wszystko pociągnęło w góry;
I ja musiałem z Kumuchem się rozstać;
Chociażbym wolał był się tam pozostać,
Bo ciężka droga leżała przed nami.
Góry wiecznemi pokryte śniegami,
Które miał oddział nasz przejść marszem śpiesznym,
Były widokiem nie nader pociesznym;
A iść dokoła czasu już nie było.
Wielu też marsz ten życiem przepłaciło,
I dotąd w śniegach kostnieją ich zwłoki.
Na Gudordachu śnieg był tak głęboki,
Że kiedy przeszły moskiewskie oddziały,
To go na dziewięć sążni udeptały,
A jeszcze grzęzły z bagażami muły.
U gór podnóża słały się muły,

Z dzikim łoskotem spadały potoki,
I pływające w powietrzu obłoki,
Jak dymu kłęby pod nami się wiły.
Szamil, zebrawszy dosyć znaczne siły,
Już myślał szturmem zdobyć Zakatały,
Aż w tem pikiety czujne znać mu dały,
Że z Gudordachu nadchodzą Moskale.
Imam się tego nie spodziewał wcale,
Bo tylko głupi wódz, albo zuchwały
Mógł przez te góry prowadzić oddziały,
Gdzie przy najmniejszej zamieci wśród drogi
Wszyscy wyginąć mogli co do nogi.
Nie chcąc jednakże wszystko ryzykować,
Szamil się musiał spiesznie zrejterować,
Póki jedyna do odwrotu droga
Jeszcze nie była odciętą przez wroga.
Tchórz Orbeliani, wyszedłszy z swych szańców,
Zaczął mordować niewinnych mieszkańców.
Co Szamil nie wziął, to on im zabierał,
Wieszał, mordował, żywcem skórę zdzierał
Za to, że w boju Szamila wspierali.
Chociaż mieszkańcy udziału nie brali
W stoczonych bitwach, lecz wojsko stchórzyło,
Więc na nich winę zwalić trzeba było.
Z Zakatał pułk nasz śpiesznemi marszami
Ruszył do Turcyi, bo wojna z Turkami
Już się zaczęła u samej granicy.
Stojące hufce tureckiej konnicy
Czekały tylko do bitwy sygnału,
Z Karsu piechota ciągnęła pomału,
Od Kurdystanu uzbrojeni w piki
Spieszyli Kurdzi, a moskiewskie szyki
Złamane nowym ruchem w Dahestanie
Jeszcze odporu dać nie były wstanie.
Turcy już byli na moskiewskiej ziemi,
Już Reis basza z siłami zbrojnemi

Digitized by Google

Przeszedł Arpaczaj; nadgraniczne sioła
W perzynę zmienił, pożary dokoła
Niszczyły wszystko, gdy moskiewskie siły
Zmęczone strasznie do granic przybyły.
Aleksandropol ochłonął ze strachu,
Bo się nadzwyczaj obawiał zamachu
Choć był fortecy zasłoniony murem;
Lecz Reis basza już pod Bajandurem
Z całą swą armią spoczywał, i tylko
Jedną od miasta przedzielon był milką.
Nazajutrz zaraz nastąpiło starcie.
Wojsko tureckie biło się zażarcie,
Zadrżała ziemia od armatnich strzałów,
Krzyżowy ogień z bajandurskich wałów
Sypał się ciągle bez najmniejszej przerwy.
Już w bój wstąpiły moskiewskie rezerwy,
Gdy Reis basza, opuszczając wały,
Na szturm prowadzić rozkazał oddziały.
Moskiewskie nagle zachwiały się szyki.
Widząc to Turcy, z dzikiemi okrzyki
Natarli mężnie, przełamali skrzydło
I popędzili Moskali jak bydło;
A wódz moskiewski carowi w raporcie
Doniósł, że pomścił Ottomańskiej Porcie
Za wszystkie krzywdy, i gdyby mu była
Przy rejteradzie noc nie przeszkodziła,
To żaden Turek by się nie ocalił.
Car jenerała za męztwo pochwalił,
I chrest mu przysłał światoho Andreja.
Kiedyś na chreście wieszali złodzieja,
Dziś car moskiewski na nich chresty wiesza.
Sam chresty nosi i niemiecka rzesza,
Co go otacza, gnie się pod chrestami,
Złodzieje krzyczą: „Wielki car nasz z nami!"
W parę tygodni świeże bataliony
Przybyły do nas. Dowódzca raniony

Digitized by Google

Opuścił oddział wśród głośnych okrzyków.
Na jego miejsce wodzem zbrojnych szyków
Sam car naznaczył księcia Bebutowa.
Moskale marli, bo zima surowa
Już się zaczęła, a Turków oddziały
Do wsi moskiewskich ciągle się wrywały,
I niepokojąc wojsko alarmami,
Za Arpaczaju kryły się brzegami.
Chcąc więc położyć koniec tym nabiegom,
Bebutów kazał moskiewskim szeregom
Przebyć granicę i natrzeć na Turków.
Na widok wroga ze wszystkich pagórków
Ryknęły działa, zabrzmiał bęben szumny,
Z Baszkadyklaru tureckie kolumny
W szyku bojowym na skrzydła ruszyły,
A Reis basza sam z głównemi siły
Stanął we środku, i rozpoczął ruchy.
Granaty, jęcząc, jak piekielne duchy
W szeregi Moskwy ciągle się sypały.
Z lewego skrzydła tureckie oddziały
Natarły mężnie i zbiły saperów
Tak, że się tylko czterech oficerów
Z pięciuset ludzi zostało przy życiu.
Pułkownik Zwierów, stojący w ukryciu
Na prawem skrzydle, wyszedłszy z za krzaków
Z pułkiem piechoty, i hufcem kozaków
W pomoc ginącym saperom zawinął;
Ale zaledwie kolumny rozwinął,
Jazda turecka na niego natarła,
Zbiła kozaków, pieszych w bagno wparła,
A resztę skrzydła wpędziła do lasu.
Widząc to basza, chciał korzystać z czasu,
I nim Moskale ochłoną z kłopotu,
Kazał im zamknąć drogę do odwrotu.
Ten krok był dobrym wtenczas, gdyby cała
Moskiewska linia z boju się cofała

Lecz jeszcze skrzydło i środek walczyły,
A basza, swoje rozdzielając siły,
Przedwcześnie linię bojową osłabił,
I tem niechybne zwycięztwo swe zabił.
Bo Moskwa widząc osłabionych Turków,
Zaraz dotarła do samych pagórków,
I bagnetami wśród głośnych okrzyków
Złamała środek Reis baszy szyków.
Na lewem skrzydle pobito Moskali.
Tam nasi bracia dzielnie się spisali,
Bo jedna setka złożona z Polaków
Trzystu dwudziestu moskiewskich żołdaków
Zbiła na miazgę, i wzięła dwa działa;
A gdy je Moskwa napowrót wziąść chciała,
Cała secina Dońców padła trupem,
Setka zaś polska ze zdobytym łupem,
Prowadząc z sobą mnóstwo niewolników,
W porządku do swych cofnęła się szyków.
Garstka ta naszych walecznych rodaków
Była to cząstka tych biednych Polaków,
Których Bem Turcyi pod opiekę oddał
Wtenczas, gdy Gergiej Moskalom się poddał.
Za ich przykładem tureckie szwadrony
Poszły do szarży i trzy bataliony
Erywańskiego pułku rozprószyły.
Lecz Reis basza, rozdzieliwszy siły,
Wytrzymać nie mógł ataku Moskali:
Na obu skrzydłach Turcy zwyciężali,
Lecz gdy się szyki we środku złamały,
I skrzydła zaraz cofnąć się musiały,
Aby nie stracić drogi do odwrotu.
Moskwa, co bitwy takiego obrotu
Z początku nigdy przypuścić nie śmiała,
Już swe furgony nazad odesłała,
I gdy plac boju otrzymała potem,
Rannych tureckich już idąc z powrotem

Digitized by Google

Nie miała na czem do twierdzy odstawić,
A nie chcąc żywych na placu zostawić
Kazała końmi wszystkich potratować.
Nazajutrz oddział miał się zrejterować,
Więc jeszcze w nocy rozkazy oddano,
Aby poległych ciała pogrzebano.
Wyszliśmy na plac, promienie księżyca
Padały prosto na zsiniałe lica
Trupów leżących między ścierwem koni;
Skostniałe ręce ze szczątkami broni
Jeszcze do góry wzniesione sterczały,
Jakby na nowo rozpocząć bój chciały.
W skrzywionych twarzach żył jeszcze ślad męztwa;
Rozwarte usta, na których przekleństwa
Tylko co z życia ostatkiem skonały,
Groziły jeszcze; oczy słupem stały,
I wywrócone białkami do góry
Gniewno patrzyły w wijące się chmury.
Z nóg połamanych wyłaziły kości;
Tuż kawałami wyrwane wnętrzności
Leżały obok skrwawionego ciała.
Zdemontowane lawety i działa
Wśród trupów zmarłych sterczały rycerzy;
Z rydlami grupy moskiewskich żołnierzy
Jak duchy z piekła po placu się snuły;
Dymem buchały płonące auły,
Które po bitwie spalili żołdacy.
Z tego zaś miejsca, gdzie nasi rodacy
Bijąc się, Moskwy przełamali szyki,
Do moich uszu doleciał jęk dziki
Jak gdyby jakieś nieszczęście mi wróżył,
Po chwili jeszcze głośniej się powtórzył.
Sam nie wiedziałem, coby to znaczyło?
Tam zkąd głos leciał nikogo nie było,
Wtem znów ktoś, jęcząc, błaga o ratunek.
Więc prędko w lufę włożywszy ładunek,

Co tchu przybiegam na pobojowisko,
I jakież widzę przed sobą zjawisko!?
Podły oficer morduje rannego!
Przejęty zgrozą krzyknąłem na niego:
„Precz ztąd, morderco! rabusiu, czy kacie!“
Słysząc to ranny, jęknął: „Ratuj bracie!
Ja Polak jestem, on mię tu morduje,
Czuję, że ze mnie życie ulatuje,
Z ziemi nie mogę podnieść rannej głowy!“
Zadrżałem,, słysząc dźwięk ojczystej mowy,
A Moskal rzekł mi: „Co chcesz buntowniku!“
„Broń się!“ krzyknąłem, „podły nikczemniku!
Lub jak pies zginiesz!“ i odwiodłem kurek —
Oficer strzelił i trafił w pagórek;
Lecz moja kula przeszyła mu serce.
„Dziękuję bracie! żeś mego mordercę
Za mnie ukarał,“ rzekł żołnierz turecki,
„Ja jestem Polak, Antoni Piasecki,
Lat kilkanaście za swój kraj cierpiałem,
W dzisiejszym boju dwie rany dostałem;
Tyś mię ocalił przed chwilą od wroga,
Teraz na miłość Ojczyzny i Boga
Błagam cię, ukryj mię prędzej, bo zginę!
Patrz uprzątają sąsiednią dolinę,
I zaraz tutaj zawiną Moskale!
Wtenczas już niczem życia nie ocalę!“
„Nie bój się,“ rzekłem, „bohaterze stary!
Ja cię zaniosę do blizkiej pieczary,
Tam cię ukryję od wroga i mrozu,
A sam pośpieszę prędzej, do obozu,
I zaraz wrócę tu z ciepłą herbatą,
Ogrzej się trochę! wtenczas czystą szmatą
Choć przy księżycu przewinę twe rany.“
„Ach! Bóg ci zapłać, rodaku kochany!“
Rzekł mi Piasecki przy wyjściu z pieczary,
„Jeśli w obozie jest kto z naszej wiary

Digitized by Google

Wzięty w niewolę, to trzeba pracować,
Żeby rodaków od mąk uratować,
Wszak wszyscy kiedyś spotkamy się w niebie!
A spiesz z powrotem, bo czekam na ciebie."
Gdym nazad wrócił, już bez duszy ciało
W pieczarze ciemnej pod płaszczem leżało,
Nazajutrz rano Moskale znękani
Pracą i zimnem szli do Erywani,
Bo w nocy goniec przywiózł wieść z tej strony,
Że już granicę tureckie szwadrony
Koło Igdyru w nocy przekroczyły,
I przednie straże moskiewskie pobiły.
Tym czasem Szamil, mszcząc za Zakatały,
Wpadł do Kachetyi z silnemi oddziały,
Wziął mnóstwo bogactw, trzód i niewolników,
A wódz moskiewski, jenerał Mielników,
Przy braku wojska stracił na odwadze.
W Kachetyi właśnie książę Czewczewadze
Miał swoje dobra; sam rzadko w nich bywał,
Bo się Moskalom ciągle wysługiwał.
Była tam tylko żona od niedawna,
Młodziutka księżna ze swych wdzięków sławna,
(Natenczas syna pierwszego powiła)
Francuzka bona, co dziecię niańczyła,
I siostra księżnej. Ale przyszła chwila.
Eski, zostawszy naibem Szamila,
Pomny na krzywdy ojca Izmaela
I na przysięgę by mścić przyjaciela
Spieszył z hufcami do dóbr swego wroga.
Gęsto drzewami wysadzana droga,
Pnąc się na wzgórza, do dworu się wiła.
Księżna przy oknie swe dziecię karmiła,
I myśląc, że to jedzie konwój księcia
Rzekła z radością do swego pisklęcia!"
„Tato twój jedzie! patrz, wiele tam koni!"
„Ale spójrz, siostro! to nie są dragoni,

Książę wziąść musiał jakiś konwój nowy,
Wszyscy w czerkieskach, ogolone głowy!
Lecz gdzież jest mąż twój? ja nie widzę jego.
To są Czerkiesi, na Boga świętego!
Chowaj się siostro! tu mogą nas zabić,
Spieszmy! bo oni jadą dom nasz grabić.“
Tymczasem jazda na dziedziniec wpadła,
Księżna spojrzała na syna i zbladła,
A Eski warty rozstawiwszy w koło
Wszedł do salonu. Nachmurzone czoło
Rycerza kilka już szramów zdobiło.
Na bladej twarzy nagle się odbiło
Wszystko, co wrzało w jego mściwem łonie.
W milczeniu porwał księżnę w silne dłonie,
I jak zwierz dziki, na przygody ślepy,
Dosiadłszy konia, popędził przez stepy...
Łokciami wsparta na szyi rumaka
Księżna trzymała swego jedynaka,
I drżąc od strachu z łzą nabiegłem okiem
Błagała jezdzca, aby jechał krokiem,
Ale na próżno modliła, błagała,
Eski uciekał, jakby go śmierć gnała,
Bo się obawiał moskiewskiej pogoni.
Wtem biedne dziecię, wymknąwszy się z dłoni,
Upadło prosto pod końskie podkowy,
Mózg tylko bryzgnął z roztrzaskanej głowy,
A Eski nawet nie spojrzał na dziecię.
Nieszczęsna matka, co nad wszystko w świecie
Pierworodnego syna przekładała,
Jęcząc z boleści Eskiego błagała,
Żeby wziął z sobą choć zwłoki pisklęcia.
„Jak widzę, żal ci twojego szczenięcia,“
Rzekł obojętnie jej Eski ponury,
„Zaczekaj chwilkę, jak przyjedziem w góry
Ja cię do naszych zaprowadzę chatek,
Tamto dopiero ujrzysz rozpacz matek

Digitized by Google

Nad dziećmi, które mąż twój pomordował.
Patrz na auły, które on zrabował,
Wielu tam ojców padło bez oręża,
Jak płaczą dzieci, jak klną twego męża
Żony, co mężów swoich potraciły!
Spójrz na samotne Czerkiesów mogiły
Ile tam mężnych szlachetnych serc tleje,
Ile tam niewiąst łzy codziennie leje
Nad grobowcami poległych kochanków,
Ile ja smutnych sam spędziłem ranków,
Gdy mąż twój zabił mego przyjaciela!
A mą kochankę, siostrę Izmaela,
Czy nie twój książę zabrał do niewoli?
Ciebie po synie teraz serce boli,
Jam cierpiał więcej gdy Giuzel skonała.
Natenczas zemsta w sercu mem zawrzała,
Przysiągłem, że jej śmierci nie przebaczę,
Niechajże teraz i twój mąż zapłacze!
On dotąd tylko napawał się łzami,
Zdobywał złoto naszemi klęskami,
Litości nie miał nawet nad kobietą,
Ja mu tąż samą odpłacę monetą.
O ciesz się w grobie, Izmaelu drogi!
Bo tu na ziemi płaczą twoje wrogi!“
Skończył i znowu milczący, ponury
Pędził jak gdyby chciał prześcignąć chmury.
Już zaszło słońce i księżyc wspaniały
Pnąc się na błękit wypełzał z za skały,
Kiedy, rabunkiem i drogą zmęczone
Zabrawszy młodszą księżniczkę i bonę,
Eskiego hufce przybyły ze dworu
I razem z wodzem u bliskiego boru
Na odpoczynek stanęły w bezładzie.
Tutaj dopiero po krótkiej naradzie
Los trzech niewolnic został rozstrzygnięty.
Naprzód je zabić chciał Eski zawzięty,

Digitized by Google

Lecz gdy już przeszła uniesienia chwila,
Nukierom kazał odwieść do Szamila.
W małej forteczce nad Kojsu brzegami
Przed laty Szamil, walcząc z Moskalami,
Musiał im oddać w zakład swego syna.
Lat kilkanaście już Dżemałedina
Nie widział ojciec, i marzyć porzucił,
Aby syn jego do domu powrócił;
Aż wtem swobodę powraca mu Eski,
Bo za dwie księżne swoje, car moskiewski
Dżemałedina Szamilowi zwrócił.

Gdy mię los potem do Kumuchu rzucił
Już nawet sakli Radżaba nie było,
Tylko mi kilku Czerkiesów mówiło,
Że u Szamila, siedząc przy kominie,
Prawi o Mekce i o swoim synie;
A Badży szkoda, że się tak skończyło
Lecz jej na świecie już dawno nie było.

Digitized by Google

Digitized by Google

CZECZEŃSKIE WYPRAWY.

Digitized by Google

Digitized by Google

Czeczeńskie wyprawy.

W Czeczni zazwyczaj z końcem listopada,
Kiedy już z drzewa wszystek liść opada,
Moskwa wytrzebia mnóstwo lasów ślicznych,
Aby do głównych punktów strategicznych
W ten sposób sobie utorować drogi;
Bo kiedy minie już Kwiecień złowrogi.
Drzewa samotne znowu liść przystroi,
Wtenczas Czeczeniec wrogów się nie boi.
Z szatanem nawet gotów iść w zapasy,
I żaden Moskal przez czeczeńskie lasy
Jeszcze wśród lata nie przeszedł bezkarnie,
A kto próbował, każden ginął marnie.
Lecz gdy już z liści wyzuje się puszcza,
Do Czeczni wpada stotysięczna tłuszcza,
I kilkadziesiąt tysięcy toporów
Moskiewskich, drogi toruje wśród borów.
Od rannej zorzy do zachodu słońca
Codzień wrzy walka aż do wiosny końca,
We wszystkich puszczach jak gdyby za kary
Ciągle pałają niszczące pożary,
Bo Moskwa zaraz pali ścięte drzewa,
A ile codzień tam się krwi wylewa,
Ilu Abreków na swych puszcz ruinie
W nierównym boju z dziką Moskwą ginie,

Digitized by Google

Z jakim tam walczą Czeczeńcy zapałem!!
Kiedy raz pierwszy z moskiewskim oddziałem
W te ciche lasy wkroczyłem przed bitwą,
To mi się zdało, że coś tchnie w nich Litwą,
Że to jest cząstka białowiejskiej puszczy,
W tem słyszę, krzyczy kilka głosów z tłuszczy:
„Telegraf stoi, będą z harmat strzelać!
Dzisiaj się przyjdzie tu dużo krwi przelać!“
Spojrzałem w koło, bo mię to zdziwiło;
Lecz oprócz lasu nigdzie nic nie było,
Jednak „telegraf,“ krzyczą, to coś znaczy.
Dopiero stary żołnierz mi tłumaczy,
Co telegrafem oni nazywają?
Czerkiesi zwykle, gdy z armat strzelają,
Stawią wedety na drzewach po lesie,
Aby śledziły, czy ich strzał doniesie
Do kolumn Moskwy; gdzie padają strzały,
I jak najspieszniej o tem znać dawały.
Bo każden nabój kosztuje ich drogo,
Na wiatr więc strzelać nie chcą i nie mogą.
Prócz tego warty, co na drzewach stają,
O ruchach Moskwy Czeczeńcom znać dają,
I te to warty, wyśledziwszy trafem,
Moskwa nazywać zwykła telegrafem.
Stał już telegraf jak go tu nazwano,
Kiedy nam puszczę zajmować kazano.
Więc awangardni z działami ciężkiemi
Ruszyli naprzód, a zaraz za niemi
Baczne łańcuchy poszły z rezerwami.
Potem kolumna wojska z toporami
Między łańcuchy boczne się wciągnęła,
A arjergarda czworobok zamknęła.
Gruchnęły strzały ze wszystkich stron puszczy.
W odpowiedź na nie od moskiewskiej tłuszczy
Zagrzmiały działa i ogień rotowy,
A z czworoboku dźwięki ludzkiej mowy

Digitized by Google

Zmięszane z głuchym łoskotem toporów
Echo poniosło aż na koniec borów,
Jakby chcąc światu powtórzyć dowodnie
Rozpacz Czerkiesów i moskiewskie zbrodnie.
W białych kapturach migali się w krzakach
Mężni Abrecy na dzielnych rumakach,
I z każdym strzałem puszczonym w Moskali
Krzyczeli na nich jakby psów wołali,
Z hojnym dodatkiem wyzywań szyderczych.
Stoletnie dęby z pod siekier morderczych
Szły na ogniska. Tak przeszedł dzień cały.
Już przed wieczorem podano sygnały,
Żeby rozpocząć odwrót do doliny.
Wtenczas to właśnie mężnej Czeczni syny
Zwykli mścić wrogom za zbrodnie i mordy.
Zaledwie tylko ruszyły się hordy,
Po całej puszczy przeleciał wrzask dziki.
Mężni Abrecy na moskiewskie szyki
Ze sztyletami runęli z za krzaków,
I szarpiąc serca tchórzliwych żołdaków
W przeważnych tłumach walczących Moskali,
Bili się mężnie i mężnie konali.
Kto czuł, że bagnet już zajrzał mu w serce,
Sam go pchał głębiej, byleby mordercę
Dosięgnąć jeszcze ostrzem puginału.
W dolinę weszła już reszta oddziału,
A jeszcze strzały sypały się z krzaków.
Wtem zobaczyłem u kilku kozaków
Głowy Czerkiesów zatknięte na piki.
Ciekawy byłem po co ten lud dziki
Zabrał je z sobą, więc pytam żołdaka:
„Czy widzisz trupią głowę u kozaka?“
„Widzę,“ rzekł żołdak, „dobry grosz zarobi!“
Więc pytam znowu: „A cóż on z nią zrobi?“
„Jakto co zrobi? odprzeda krewnemu?“
„A wieleż krewni za nią dadzą jemu?“

Digitized by Google

„To różnie bywa; od tego zależy
Do jakich krewnych ta głowa należy,
I czy ten kozak targować się umie;
Jeżli się dobrze na rzeczy rozumie,
To karbowańców z pięćdziesiąt dostanie.“
Nazajutrz rano, skończywszy śniadanie,
Umyślniem poszedł za obóz na wały,
Gdzie się poległych głowy sprzedawały,
Żeby zobaczyć ten handel bezczelny,
O którym wiedział Czeczni wódz naczelny,
Sławny z kradzieży hrabia Eudokimów;
Ale, nie cierpiąc mężnej Czeczni synów,
Zezwalał chętnie na ten handel podły.
Gdym przyszedł tylko, usłyszałem modły
Familii w boju poległych rycerzy.
Mnóstwo kozaków i kilku żołnierzy
Stało przy głowach leżących na ziemi,
I podczas targu o wykup z krewnemi
Pluło i klęło nieszczęśliwe trupy,
By rublem drożej sprzedać swoje łupy.
Inni przy krewnych z ironiczną miną
Usta zmarłego mazali słoniną
Krzycząc: „Już teraz nie pójdziesz do raju!“
I mnóstwem szykan takiego rodzaju
Na krewnych wykup większy wymuszali.
Daremnie matki błagały Moskali,
Napróżno siostry modliły ze łzami,
By się przestali pastwić nad trupami.
Nic nie pomogły błagania i płacze:
Za nadto podłe są serca kozacze,
Żeby się litość w nich mogła obudzić;
Przeciwnie, widząc, że mogą wyłudzić
Więcej pieniędzy swoją nikczemnością,
Zaczęli z większą jeszcze bezczelnością
Powtarzać szereg urągań złośliwych,
Dopóki krewni trupów nieszczęśliwych,

Digitized by Google

Sprzedając cały inwentarz domowy,
Nie wykupili bohaterów głowy.
Przejęty zgrozą opuściłem wały
Gdzie codzień matki i siostry płakały,
Niosąc wykupy z aułów odległych
Za głowy synów i braci poległych.
I po tych czynach Moskwa jeszcze krzyczy,
Że tu rozszerza oświatę wśród dziczy,
Cywilizuje Kaukaz fanatyczny!
Nie ma co mówić! jest to postęp śliczny.
Przed nowym rokiem wódz moskiewskiej tłuszczy
Zwykle zawiesza roboty na puszczy,
I dwa tygodnie znużeni żołdacy
Odpoczywają w stanicach po pracy.
W kizlarskich stepach, nad Tereku brzegiem,
Blizko od Czeczni, ciągną się szeregiem
Stanice zawsze do walki gotowe.
Do nich to właśnie oddziały zimowe
Chodziły z Czeczni odpocząć po pracy.
Chętnie je zawsze przyjmują kozacy,
Bo każden żołnierz stojąc na kwaterze
U gospodarza zwykle wino bierze,
A piją dobrze wymarzłszy się w lesie.
Więc jaki tylko z sobą grosz przyniesie
Nieszczęsny żołdak, to go tam przetraci,
Ale się przezto stanica bogaci.
Z radością zatem spotyka żołdaków,
Bo car i rubel carski dla kozaków
Są to bożyszcza, za które gotowi
Poświęcić wszystko; duszę szatanowi
Zaprzeda każden za rubla i cara.
Dotąd trwa jeszcze między niemi wiara
W to, że Bóg cara naznaczył od siebie,
By był na ziemi tem, czem Sam jest w niebie;
A jeźli umrze Bóg, (co stać się może)
To car moskiewski zajmie miejsce Boże.

Digitized by Google

Służą więc wszyscy carowi z zapałem.
Raz w Kargalince na kwaterze stałem
U jesauła, to jest kapitana ;
Obok pokoju mego zawsze zrana
Słyszę stuk jakiś, wojskowe komendy,
I myślę sobie, ktoby chodził tędy
Uczyć się musztry ? gospodarz w dymisyi,
Przeto służbowych nie może mieć misyj,
A musztra jednak zasnąć mi nie daje.
Więc dnia jednego nieco wcześniej wstaję,
I jak myślicie, co się dowiaduję ?
Że to kapitan swe córki musztruje.
Biedne dziewczęta ! co dzień ranek cały
Z lancami kłusem po sali biegały,
A sam Fetisów, tak zwał się kapitan,
Na środku sali ujadał jak brytan.
Żona przez grzebień sygnały trąbiła,
I jak się która z córek omyliła,
To ją kańczukiem smagała za błędy,
Wciąż powtarzając : „A słuchaj komendy !“
Kiedy się wszyscy zeszli na śniadanie,
Pytam kozaka : „Powiedz, kapitanie !
Na co się musztra twoim córkom przydą ?“
„Ba,“ rzekł kapitan, „gdy się za mąż wydą,
A Pan Bóg synów pozwoli wychować,
Trzeba wszak będzie komuś ich musztrować,
Wtenczas nauka im zda się dla dzieci.
Car potrzebuje wojska, a nie śmieci !“
I znów co rana słyszałem sygnały,
I znowu musztry spać mi nie dawały.

Digitized by Google

Z KAŁMYCKICH STEPÓW.

6

Digitized by Google

Digitized by Google

Z kałmyckich stepów.

Dwie ciężkie rany, i sześć zim spędzonych
Pod gołem niebem, wsród mrozów szalonych
Wątłe me zdrowie do tego zniszczyły,
Że przejść przez pokój już nie miałem siły,
I tylko kumys, podług zdań doktora,
Mógł mię uleczyć. Właśnie była pora
Zacząć kuracyę, bo kumys wiosenny
Działa najlepiej; a już Kałmyk senny,
Dostrzegłszy wiosnę na błękitów sklepie,
Z radośnym krzykiem uganiał po stepie.
Więc wziąłem urlop od wyższych władz carskich,
I wyjechałem do stepów kizlarskich.
W stepach mię spotkał jakiś Kałmyk brzydki,
Prosząc na nocleg do swojej kibitki.
Był to właściciel dwóch taborów licznych,
Miał siedem córek po kałmycku ślicznych,
Bo wszystkie były okrągłe jak pączki.
Miały dość duże i nóżki i rączki,
Szerokie usta, oczy bardzo małe,
Zadarte nosy, zęby rzadkie, białe,
A przytem duży na twarzach rumieniec.
Za taką piękność kałmycki młodzieniec
Na jakież siebie nie poświęci kary?
Gdy się dowiedział potem Kałmyk stary,

Digitized by Google

Że muszę w stepach czas dłuższy zabawić,
Kazał mi zaraz kibitkę postawić,
I pielęgnując w chorobie jak brata,
Trzymał u siebie aż do końca lata.
Czasami tylko pytał z kwaśną miną,
Czy ja się jego nie brzydzę rodziną?
A to dla tego, żem jadał osobno.
Lecz z kałmykami jadać niepodobno,
Bo kałmyk tylko takie bydło jada,
Co ze starości lub od chorób pada.
Wierzą w to bowiem, że dusza człowieka
Po śmierci jego z wnętrzności ucieka,
I w jakiemkolwiek zwierzęciu się kryje.
Więc za nic w świecie zwierza nie zabije,
Ale jak śmiercią naturalną zginie
Pies, koń, lub osioł, wędzą go w kominie,
Potem dodają doń różne przyprawy,
A gdy gotowe już mają potrawy,
Usta bożkowi niemi wprzód smarują,
Potem dopiero sami się fetują.
W każdej kibitce stoi koło ściany
Drewniany bożek z dębu wyciosany.
Przed nim na sznurku wisi misa z drzewa,
Do której zwykle pokarm się nalewa,
I kiedy przyjdzie śniadania godzina
Do bożka cała wprzód idzie rodzina;
Wnet się napełnia jadłem misa pusta.
Tem jadłem wszyscy smarują mu usta,
A potem każden trzy razy się kłania,
I pyta bożka, czy kontent z śniadania?
Ta ceremonia nadzwyczaj sumiennie
Najmniej trzy razy odbywa się dziennie.
Bożek nieszczęsny, wiecznie zamazany,
W kibitce sprawia zaduch niesłychany,
Bo warstwy tłuszczu ciągle na nim gniją,
A raz do roku tylko bożków myją.

Digitized by Google

(To się za zwyczaj z końcem zimy dzieje).
Kiedy już w stepach wszystek śnieg stopnieje,
Kałmycy trzódy wypędzą na trawę,
Natenczas ciągną bożków na rozprawę:
Naprzód z kibitek wynoszą i myją,
A potem masłem smarują, lub biją.
Jeżeli zima była niezbyt sroga,
To świeżem masłem mażą swego boga
Za to, że stada zimna nie cierpiały;
A jeśli w zimie długo mrozy trwały,
To po omyciu dopóty go biją,
Póki do trzonka kańczuków nie zbiją.
Potem dzień cały na grach przepędzają.
Zwykle przed jednym gankiem się zbierają
Wszystkie dziewczęta, z długiemi prętami
Stają półkolem przed samemi drzwiami,
I każda prętem swoim grożąc krzyczy:
„Idźcie zdobywać nasz grodek dziewiczy!
A młodzież konno z kolei naciera,
Kto dotrze do drzwi, ten całus odbiera
Od najpiękniejszej dziewczyny z półkoła,
Albo jeżeli taka jezdzca woła,
To po kolei każda go całuje.
Ale nie każden, co grodek szturmuje,
Dociera do drzwi, bo któren niebrzydki
Tego umyślnie puszczą do kibitki.
Lecz jeśli kogo nie lubią dziewczęta,
Już nie żałując fatygi i pręta,
Tak go obiją, gdy zacznie szturmować,
Że się natychmiast musi zrejterować.
Raz, co się rzadko u Kałmyków zdarza,
Najstarsza córka mego gospodarza,
Przynosząc zwykłym trybem kumys zrana,
Przyszła nadzwyczaj starannie ubrana:
W uszach i w nosie ogromne kolczyki,
Na nogach miała czerwone bociki,

Digitized by Google

Paliowe spodnie, zielony kaftanik,
Przytem różowy aksamitny stanik
Ze srebrnym paskiem, dość zgrabnie zrobiony;
Wygorsowana i gors ozdobiony
Złotą monetą nizaną na sznurki;
Zamiast bransolet ogromne paciorki.
Głowa w jedwabną chustkę zawinięta:
Więc się ją pytam: „Czy to jakie święta,
Żeś się tak ładnie dzisiaj wystroiła?“
Dziewczyna oczy rękawem zakryła,
I nachyliwszy do ramienia głowę
Rzekła: „Dziś przyjdą wszak swaty na zmowę,
Muszę iść jeszcze pręty przygotować,
Bo zanim przyjdą, trzeba się pochować,
A jak się zejdą z taboru dziewczęta;
Wtenczas zobaczysz, jakie dzisiaj święta.
Z tego wszystkiego nic nie zrozumiałem.
Dopiero potem już się dowiedziałem,
Co miała znaczyć odpowiedź dziewczyny,
Kiedy gospodarz mój na zaślubiny
Najstarszej córki zaprosić mnie raczył,
I gdym ten cały obrządek zobaczył.
Jeśli chce Kałmyk zaślubić dziewczynę,
Uprzedza o tem całą jej rodzinę.
Ta mu naznacza dzień do odpowiedzi.
Wten dzień się zewsząd zjeżdżają sąsiedzi,
A panna młoda z całego taboru
Sprasza dziewczęta do swojego dworu,
I wystrojona gdziekolwiek się chowa,
(Ślub po kałmycku nazywa się zmowa):
Potem, gdy wszyscy znajomi się zbiorą,
Dziewczęta zaraz długie pręty biorą,
I jak się tylko ruszy narzeczony
Szukać ukrytej przyszłej swojej żony,
Wszystkie się razem rzucają na niego,
I nim ją znajdzie biją nieszczęsnego

Digitized by Google

Ale tak biją, że aż trzeszczy skóra.
Jeśli więc za mąż nie życzy wyjść która,
To się tak chowa, że daremna praca
Szukać ją wtenczas, i pretendent wraca
Obity z kwitkiem napowrót do domu;
A jeśli życzy oddać rękę komu,
To go uprzedzi nim przyjdzie na zmowę,
Gdzie się chce ukryć, albo nie, to głowę
Z ukrycia swego wychyli nieznacznie,
Lub się zaśmieje, gdy ją szukać zacznie,
A jak już znajdzie, to z sobą zabiera,
I w tem się ślubny obrządek zawiera.
Nazajutrz zrana krewni i rodzice
Idą pozdrowić wydaną dziewicę,
I tam gdzie znajdą małżonków posłanie
Wieszają kańczuk skórzany na ścianie,
Jako oznakę władzy męża w domu,
I od tej chwili nie wolno nikomu
Męszać się w żadne domowe rozprawy,
Gospodarz wszystkie sam załatwia sprawy.
Kałmyk, gdy siana już sobie nakosi,
Zaraz do swoich stogów się przenosi,
I tam do wiosny stale zamieszkuje,
Resztę zaś roku po stepach koczuje.
Życie prowadzi nadzwyczaj leniwe,
A kiedy przyjdą zimy dnie szczęśliwe,
Pod ciepłem futrem przy kominie leży:
Trzoda ma siano, on sam kumys świeży,
A jeśli przytem jest i kawał chleba,
Nic mu natenczas do szczęścia nie trzeba.
Już się me zdrowie znacznie polepszyło,
Wreszcie i lato w stepach się skończyło,
Nastała jesień, nieznośna, błotnista,
Bo w stepach zwykle bywa jesień dżdżysta,
Przytem i termin urlopu już mijał,
Na stepie Kałmyk z grabiami się zwijał,

Digitized by Google

Gromadząc siano wykoszone w stogi,
I ja zacząłem zbierać się do drogi.
Kiedym się żegnał z Kałmykiem gościnnym
Rzekłem mu: „Bracie! tyś był tak uczynnym,
Że nie wiem nawet, czem ci się wywdzięczyć?“
„Tem, gdy przy świadkach zechcesz mi zaręczyć,
Że ile razy na naszą step zawiniesz,
Nigdy kibitki mojej nie ominiesz.“
A gdym mu zrobił wzmiankę o zapłacie,
Rzekł z kwaśną miną: „Mówisz do mnie bracie!
Któż bratu swemu gościnność sprzedaje?
W stepach brat bratu wszystko darmo daje.“

Digitized by Google

ZEMSTA DZIKA.

Digitized by Google

Digitized by Google

Zemsta Dzika.

W szyrwańskim pułku był powszechnie znany
Józef Dzik, Polak, z Ojczyzny wygnany
Na wieczne czasy w kaukazkie szeregi
Za to, że ktoś tam wysłany na szpiegi
Posądził jego jako inżyniera,
Że się w odzienie żołnierskie przebiera,
I z cytadeli chodzi plan zdejmować.
Jak go zaczęli o to indagować,
Tak zwykłym trybem na tem się skończyło,
Że i w tem nawet, co mu się nie śniło,
Znaleźli winę; majątek zabrali
A winowajcę na Kaukaz zesłali.
Biedny pan Józef, już człowiek niemłody,
Lat kilka z rzędu odbywał pochody
Z wojskiem moskiewskiem po górach Kaukazu.
Pomnę, kiedyśmy szli jednego razu
Na rekonensans, Dzik do mnie powiada:
„Spójrz na ten wąwóz, pozycya nielada!
Jakby z niej można Moskali częstować,
Tylko na górze forteczkę zbudować,
A nad wąwozem z działami strażnicę.
Wtenczas pal w Moskwę dokoła jak w świecę!“
I zaczął sobie bagnetem rysować
Na piasku plany, jak twierdzę zbudować.

Digitized by Google

Drugi raz wskazał górę koło lasku,
I znów fortecę zbudował na piasku.
Tak że to nudzić mnie wreszcie zaczęło,
Więc raz go pytam: „Zkądże ci się wzięło
Jakieś tam zamki budować na lodzie?
Idziesz z tornistrem, zmęczony, o głodzie,
A wciąż fortece kręcą ci się w głowie.“
W parę miesięcy coś po tej rozmowie
Pan Józef nagle z obozu gdzieś znika —
Mija dzień drugi — nie ma pana Dzika
Nie ma, i nie ma; więc wszyscy myśleli
Że go Czerkiesi gdziekolwiek sprzątnęli.
Ale to tylko były przypuszczenia;
Dzik zaś skorzystał z dobrego zdarzenia,
I gdy pomyślna trafiła się chwila
Z obozu zemknął sobie do Szamila
A we dwa lata po jego ucieczce,
Kiedyśmy byli w górach na wycieczce,
Patrzę i oczom swym nie chcę dać wiary;
W tem samem miejscu, co wskazał Dzik stary,
I tak jak kreślił bagnetem po piasku,
Na grzbiecie góry tuż przy samym lasku
Wzniosła się twierdza. Lecz nie koniec na tem,
Kiedyśmy wyszli do obozu latem,
Z różnych stron wieści Moskałom przynoszą,
Że jeszcze cztery fortece się wznoszą,
Wszystkie w pobliżu aułów granicznych,
I na tych samych punktach strategicznych,
O których niegdyś pan Józef wspominał.
He! myślę sobie! jam go upominał
Za to, że zamki na lodzie buduje,
A on bynajmniej sobie nie żartuje;
Widać, że tęgi człowiek z pana Dzika.
Kiedy wieść doszła aż do namiestnika
O twierdzach silnych, których wprzód nie było,
To widać mu się niesmaczno zrobiło,

Digitized by Google

Bo zaraz kazał ciężkie działa zbierać,
I sam do marszu zaczął się wybierać.
Jeszcze na górach nie stopniały śniegi,
A już ze wszystkich stron wojska szeregi,
Forsownym marszem do Sałtów spieszyły.
Wreszcie i działa oblężne przybyły,
Ogromnym kosztem sprowadzone w góry,
Bo nowych fortec granitowe mury
Dla dział polowych za twarde się zdały.
Kiedy już wszystkie zeszły się oddziały,
Książe Woronców, namiestnik Kaukazu,
Chciał naprzód szturmem wziąść twierdzę od rązu,
Ale trzykrotnie ze stratą odparty,
Zobaczył wreszcie, że to nie są żarty,
Że jeśli szturm się nie uda, broń Boże,
To stotysięczną armię stracić może.
By więc uniknąć takiego zdarzenia,
Kazał się wszystkim wziąść do oblężenia.
Lecz za fortecą ciągnęły się lasy,
Z których codziennie żywności zapasy
I amunicyi Czerkiesom szły w nocy.
Chcąc więc pozbawić ich wszelkiej pomocy,
Woroncow kazał od głównej pozycyi
Jeden batalion krajowej milicyi,
Jeden pułk pieszy, szwadron kawaleryi
Razem z bateryą ciężkiej artyleryi
Na drugą stronę fortecy przeprawić,
Tam zaś milicyę przed lasem zostawić,
A resztę wojska do lasu wprowadzić,
Zrobić zasieki i drogę osadzić
Pod przewodnictwem Biurno jenerała
Tak, aby twierdza możności nie miała
Żadnych posiłków odbierać z tej strony.
Kiedy już cały plan był ułożony,
Biurno wyruszył natychmiast z oddziałem,
Milicyi kazał okopać się wałem,

Digitized by Google

I jazdę dla niej w rezerwie zostawił;
Jeden batalion łańcuchem rozstawił,
A artyleryę i resztę piechoty
W czterech zasiekach ich własnej roboty
Ukrył wśród lasu niedaleko drogi,
Którędy żywność przewoziły wrogi,
Sam zaś w tej właśnie zasiece się schronił,
Którą batalion Bibanowa bronił.
W tym batalionie i ja wtenczas byłem,
A że w przyjaźni z adjutantem żyłem,
Więc mię wziął z frontu sobie do pomocy,
Abym po wartach nie tułał się w nocy.
Raz przed wieczorem adjutant mnie woła,
By z nim pozycyę objechać dokoła,
Chciał bowiem wiedzieć, gdzie stoją wedety.
Już do ostatniej jedziemy pikiety,
Wtem od głównego sztabu z poza krzaków
Widzimy spiesznie jadących kozaków,
Adjutant mówi: „Kogoś Bóg prowadzi!
Zaczekać trochę na nich nie zawadzi,
Może nam jaką przywożą nowinę.“
Tymczasem hufiec zawinął w dolinę,
Dwóch jakichś jeźdzców jechało na przedzie,
Adjutant mruknął; „Ktoś ze sztabu jedzie!“
Kiedy się z nami już całkiem zrównali,
Wszyscy spienione konie zatrzymali,
A jeden z jeźdzców strząsając kurz z głowy
Spytał poważnie: „Gdzie jest obóz nowy?“
„Tu“, rzekł adjutant kłaniając się nizko,
„Jeśli pan życzy to tutaj są blizko
Nasze zasieki, tam jest i jenerał.“
„Jam się do niego już dawno wybierał,“
Odrzekł mu jeździec, „ale nie mam czasu,“
Objadę z panem ten kawałek lasu,
I muszę wracać, bo tu niebezpiecznie
Jeździć wieczorem. a muszę koniecznie

Digitized by Google

Dziś być z powrotem, inną razą za to
Będę u niego, jeszcze długie lato."
I objechawszy spiesznie lasek cały,
Opatrzył miejsca, gdzie zasieki stały.
Po drodze wszędzie z wartami się witał,
A przy odjeździe, gdy adjutant spytał,
Kogo swej władzy ma zaanonsować
Rzekł: „Poco pan się będziesz fatygować,
Ja myślę znowu tu wkrótce zawinąć.
„Tylko się proszę z drogą nie rozminąć,"
Mówi adjutant, „w połowie wąwozu
Na prawo idzie droga do obozu!
A prostą, twierdzy nie można wyminąć,
I pan i konwój cały mógłby zginąć."
Jeździec ostrzeżeń wysłuchał do końca,
Wreszcie powiada: „Póki promień słońca
Jeszcze przyświeca, zabłądzić nie mogę,
A od wąwozu już dobrze znam drogę."
To mówiąc głową skinął na kozaków
I kłusem szybkim popędził do krzaków;
My zaś ze wzgórka patrzymy w ich ślady.
Nagle zawołał mój adjutant blady:
„Patrz, co zrobili: z drogą się minęli,
Jadą do twierdzy; zginęli! zginęli!
I przywiązawszy chustkę do pałasza,
Machając krzyczy: „To droga nie nasza!"
Ale na próżno i macha i woła,
Echo odbiło tylko głos dokoła,
A hufiec ani zatrzymał się w pędzie.
Patrzymy obaj, co to z tego będzie.
Gdy hufiec wjechał na forteczne wały,
Wnet z przedniej linii sypnęły się strzały,
Kilku miurydów wybiegło przy broni,
By pomódz jeźdzcom zsiąść ze swoich koni,
I z wielką pompą wśród salutów licznych,
Wszyscy ruszyli do baszt pogranicznych.

Digitized by Google

Adjutant mówi: „Patrz, co się tu święci,
Czy to nie byli Abrecy przeklęci,
Kiedy ich z taką witają radością?
Ale ten jeździec z taką znajomością
Mówił o sztabie i moskiewską mową!
Człowiek to jakiś z niepoślednią głową!
Tylko ubrany był po cywilnemu.
Lecz sam Worońcow sztabowi swojemu
Pozwala w marszu taki strój przywdziewać.
I któżby mógł się był tego spodziewać,
Że i ten jeździec i kozacy jego
Może tu tylko przybyli dla tego,
Aby wypatrzyć co się u nas dzieje:
Gdy tak jest to mię podeszli złodzieje,
Ale cóż robić, biada już się stała
Muszę uprzedzić prędzej jenerała,
Bo z tego mogą złe skutki wyniknąć.
Czemuż ich myśli nie mogłem przeniknąć,
Wtenczas kiedyśmy do lasu wjechali,
W łańcuchu wszystkich byliby złapali,
A teraz Bóg wie! co się z tego stanie;
Wiem, że mnie straszna bura się dostanie
Za to, żem nie dał znać o ich przybyciu,
Alem się nigdy nie spodziewał w życiu,
By podobnego coś spotkać mnie miało:
Widzałem różnych wypadków nie mało,
O takim jednak ani mi się śniło.
A jeśli nasi, to źle się zrobiło,
Że ich Czerkiesi do niewoli wzięli,“
Tak rozumując, gyśmy już stanęli
Koło zasieki, adjutant nieśmiało
Jenerałowi wszystko, co się działo
Do najdrobniejszych zdarzeń opowiada.
„A, rzekł jenerał:“ tu jest jakaś zdrada!
Ten jeździec jednak musiał być sztabowy,
Bo zkąd Czerkiesom przyszłoby do głowy

Coś podobnego. To nasz musiał zdradzić,
Wszystko potrzeba na jaw wyprowadzić.
Ja to doniosę sztabowi i gońca
Z raportem wyszlesz pan ze wschodem słońca,
A teraz trzeba wszędzie zwiększyć warty,
Bo widać chcą już napaść nie na żarty,
Kiedy tak pilnie nasz obóz szpiegują.
Żołnierze niechaj broń poopatrują,
Wartom powiedzieć, żeby czujnie stały,
A u milicyi poobsadzać wały,
Podwójną linią wysłać przednie straże!
Niech pan to zrobić natychmiast rozkaże!
A ja tymczasem zasieki opatrzę,
Bo jeśli w nocy nieprzyjaciel natrze,
A u nas bezład zastanie, broń Boże,
To cały oddział marnie zginąć może.
Już zmrok zapadał — z za sąsiedniej góry
Rozległ się nagle jakiś śpiew ponury
Zmięszany z dźwiękiem azyatyckiej zurny,
I, lecąc z wiatrem aż w błękit pochmurny,
To dźwięczał głośno, to ustawał czasem,
I znowu cisza grobowa nad lasem;
Tylko czasami liście zaszeleszczą
Wstrząśnięte wiatrem, to warty zawrzeszczą,
Widząc, że blizko przechodzą patrole,
Lub dziki szakal, wybiegłszy na pole,
Zawyje tylko, i znów w las ucieka,
Bojąc się spotkać na polu człowieka.
Ściemniało wreszcie, umilkł śpiew za górą
I błękit gęstą zaciągnął się chmurą.
Raptem słyszymy jakiś hałas dziki,
Po całym lesie rozległy się krzyki,
I głośne „hurra“, w powietrzu zabrzmiało.
To wszystko może pół godziny trwało,
I znów umilkło. Jenerał ciekawy,
Chcąc się dowiedzieć o przyczynach wrzawy,

Z zasieki wojska kompanię wysyła,
Żeby na koniec lasu wyruszyła,
A gdy się dowie, jak się ma rzecz cała,
Przyszła z powrotem i jemu znać dała.
Kwadrans, nie więcej, upłynęło czasu
Słyszymy znowu krzyki pośród lasu,
I znowu wszystko umilkło dokoła.
W godzinę potem adjutant mię woła,
A kiedym przyszedł, zaczął prosić grzecznie,
Żebym do lasu z nim poszedł koniecznie,
Bo go jenerał wysyłał na zwiady;
On zaś nie wiedział, czy da sobie rady.
Żeby z konwojem nie zbłądzić po nocy,
Więc musiał z sobą wziąść mnie do pomocy,
Bardziej, że żaden żołnierz nie znał drogi,
A w lesie były już z pewnością wrogi,
Kiedy kompania nazad nie wróciła.
Jak na nieszczęście i noc ciemną była,
Idziem po lesie spory kawał drogi
Nigdzie nie widać ani żywej nogi,
Aż na tem miejscu, gdzie rezerwy stały,
Patrzym — trupami pokryty plac cały.
Dalej kompania z zasieki wysłana,
Leży jak snopy. Ziemia krwią zalana,
W łańcuchu nie ma ani żywej nogi,
Już do odwrotnej zbieramy się drogi,
Wtem z poza krzaków kahałem jak żydzi
Ze sztyletami natarli miurydzi,
I w oka mgnieniu z całej naszej grupy
Leżały w lesie tylko same trupy.
Ja z adjutantem umknąłem do krzaków,
Tam znajdujemy jeszcze trzech żołdaków,
Wszyscy na ziemię kładniemy się plackiem,
I jak gadziny pełzamy omackiem,
Żeby miurydów jakkolwiek wyminąć.
Już chcemy z lasu na drogę zawinąć,

Aż wtem słyszymy, że blizko za nami
Z krzaków miurydzi wychodzą bandami,
I wprost po drodze do zasieki dążą.
No, myślę sobie jeśli ją okrążą,
A my zostaniem się w lesie odcięci,
Niech tam choć z nieba zejdą wszyscy święci,
I to już wtenczas nam nie nie pomogą.
Więc mówię: „Spieszmy, bo odciąć nas mogą,
A wtenczas wszyscy zginiemy wśród lasu,
Tu jednej chwili tracić nie ma czasu;“
I z adjutantem biegniemy krzakami,
Trzech zaś żołdaków pospiesza za nami,
Ale miurydzi tak nas nastraszyli,
Żeśmy ze strachu wszyscy zabłądzili.
Już koło samej kręcim się zasieki,
Słyszym krzyk straży i gwar niedaleki,
A nie możemy trafić do pozycyi.
Wtem jakiś Tatar z krajowej milicyi
Widząc, że wszyscy w okopach zginęli
Uciekł i prosi, żebyśmy go wzięli
Do zasiek z sobą: „My błądzimy sami“
Rzekł mu adjutant: „jak chcesz, to chodź z nami!“
„Dobrze“, rzekł Tatar, „byleby wpuścili,
To ja zasiekę wynajdę w tej chwili.“
I w rzeczy samej wprost do wrót prowadzi,
Pędzimy za nim, a wszyscy tak radzi,
Jakby się znowu na świat narodzili.
Kiedyśmy wreszcie na miejsce przybyli
Jenerał wybiegł do wrot na spotkanie,
Aby usłyszeć prędzej sprawozdanie
Z naszej wycieczki, bo z lasu nikt jeszcze
Dotąd nieprzybył, a krzyki złowieszcze
O takiej porze miały swe znaczenie.
Adjutant mówi jakie nas zdarzenie
Spotkało w lesie, i cośmy widzieli
Lecz ledwie wyrzekł: „Tam wszyscy zginęli

Digitized by Google

Aż tu z okopów pospiesznie znać dają,
Że już zasiekę wrogi rozciągają.
Cała załoga ruszyła na wały,
Aby odeprzeć wrogów atak śmiały.
Natychmiast ogień sypnął się rotowy,
I gniewne działa podnosząc swe głowy,
Ryknęły groźnie dokoła fortecy;
Lecz zawsze na śmierć gotowi Abrecy
Pośród kartaczy sypiących się gradem
Z właściwym sobie przy szturmach bezładem,
Dobywszy z pochew ostre puginały,
Z żałobną piosnką natarli na wały
Przy blasku ognisk, jak duchy piekielne,
Ślepi na strzały i razy śmiertelne,
Puginałami zasłaniając czoła,
Z bateryi działo chwycili za koła
I pociągneli do krzaków za wały.
Po chwili nagle przerwały się strzały,
Dokoła tak się wszystko uciszyło
Jakby nikogo już w lesie nie było.
Na tej bateryi, z której zdjęli działo
Stał i Bibanow, ale mu się zdało,
Że ono samo upadło przypadkiem,
Więc się wychyla z bateryi ukradkiem,
Tymczasem miuryd za kołnierz go bierze
I ciągnie na dół; widząc to żołnierze,
Dowódzcę swego chwytają za nogi,
Ale miuryda puginał złowrogi
Błysnął, z przebitej piersi krew trysnęła,
Załoga tylko zwłoki wyciągnęła.
Tymczasem w lesie znowu głos ponury
Zabrzmiał i echo poniosło go w góry,
A do zasieki z hałasem jak biesi
Ze wszystkich krzaków runęli Czerkiesi.
I znów dokoła zawrzał bój śmiertelny,
Plac się przemienił w jakiś kąt piekielny,

Gdzie wieczną wojnę prowadzą szatani.
Jak duchy z piekła żołdacy znękani
Wśród ognisk wewnątrz zasieki płonących
Snuli się spiesznie, a od harmat grzmiących
Dokoła wałów buchał dym kłębami.
Z ponurym śpiewem z pod lasu grupami
Po stosach trupów ciągnęli Abrecy.
Granaty z jękiem lecąc od fortecy
Co chwila prawie pękały nad lasem,
I z gęstej chmury błyskawice czasem
Wśród strasznych grzmotów w powietrzu migały.
Pod koniec tak już załogi zmalały,
Że Biurno myślał zasieki porzucić!
Działa zagwoździć i do sztabu wrócić.
Lecz jak na szczęście jego z pierwszem brzaskiem
Miurydzi śpiesznie się skryli za laskiem,
I pociągnęli drogą do wąwozu.
Ze wschodem słońca z głównego obozu
Przyleciał goniec spytać jenerała,
Dla czego w nocy ciągle grzmiały działa?
Namiestnik bowiem o niczem nie wiedział,
Lecz gdy mu goniec wszystko opowiedział,
Z całym swym sztabem w strasznym niepokoju
Śpiesznie wyruszył prosto na plac boju,
I kazał zaraz trąbić do apelu,
Ale po bitwie stanęło niewielu,
Bo pięć tysięcy trupem padło; w nocy
Zaraz nadciągnął oddział do pomocy
I wszyscy poszli na czoło pozycyi,
By zabrać ztamtąd trupy po milicyi.
Wtem jakiś jeździec na spienionym koniu
Z fortecy pędzi jak strzała po błoniu,
A kiedy był już od nas bardzo blizko,
Nagle się wstrzymał, ukłonił się nisko,
I wymawiając imię namiestnika
Spytał donośnie: „Czy pamiętasz Dzika,

Którego Carat wszystkiego pozbawił?
Tom ja wam dzisiaj taką ucztę sprawił,
Szkoda, żeś ty się od niej w sztabie schował.
A twierdześ widział, którem ja zbudował?
Inżynier polski dobrze zna swą sztukę,
Będzie miał Carat na przyszłość naukę!
Dużo was jeszcze wyginie tu latem:
Dnia wczorajszego gdy z Chadżymuratem
Na rekonesans do was przyjeżdżałem
Przez adjutanta przecie uprzedzałem,
Że jenerała odwiedzę niebawem,
Więc, jenerale, powiedz, jakiem prawem
Tyś się pochował do zasiek od gości?
Widać, żeś niewart mojej znajomości,
Albo się gniewasz, żem późno zawinął,
A jeśli w boju kto z Polaków zginął,
To mi wybaczcie, bo świadczę się Bogiem,
Żem przyszedł tylko pomścić się nad wrogiem
Za krzywdy swoje i swoich rodaków,
A nie zabijać mych braci Polaków!"
I z temi słowy, zawróciwszy konia,
Znowu do twierdzy popędził przez błonia.
„Więc to Dzik wczoraj przyjeżdżał do lasu,"
Myślałem sobie, „jak trzy lata czasu
Do niepoznania odmienić nas mogą!
Ileż to razy z nim tąż samą drogą,
Po której teraz sam pędził na koniu,
Chodziłem razem, na tem samem błoniu,
Gdzie był przed chwilą. Tu przy tym wąwozie
Calutkie lato z nim stałem w obozie.
Nieraz wspierałem go nawet w potrzebie,
A teraz poznać nie mogliśmy siebie.
Ale Dzik mówił moskiewskiej gadzinie,
Że jeszcze wielu tu przez lato zginie,
Pewno ma zamiar Moskwie ucztę sprawić,
Bo Dzik nie lubi w dziecińsktwa się bawić,

Digitized by Google

I na pogróżkach z wrogiem sprawę kończyć,
Ma zwyczaj zawsze groźbę z czynem łączyć;
Więc może jeszcze zejdziemy się razem.
Tymczasem wojsko za wodza rozkazem,
Zebrawszy trupy poległych wśród bitwy,
Stanęło w duży kwadrat do modlitwy.
Po nabożeństwie pośród gór samotnych
Schowano trupy do dołów wilgotnych;
Z głównej kwatery przyszły nowe siły
I znowu wszystkie drogi obsaczyły,
Bo z twierdzą innej nie mogli dać rady.
Tymczasem Szamil rozpoczął układy
Z Kazikumuchu chanem wielowładnym,
By mu dopomógł swoim czynem zdradnym
Moskiewską armię rozprószyć przez lato;
I Abdurachman już zgodził się na to,
Sam nawet podał plan następujący:
Że, kiedy tylko pod twierdzą stojący
Namiestnik z armią napowrót wyruszy,
Chan zaraz całe swe chaństwo poruszy,
I do odwrotu zagrodzi mu drogę;
A Szamil wziąwszy z fortecy załogę
Złączy ją z siłą, którą zebrać zdoła,
Potem okrąży Moskali dokoła
I jednocześnie z chanem ich napadnie.
Plan ten obydwom mógł udać się snadnie,
Oba na niego też się i zgodzili,
Ale obadwaj do ostatniej chwili
Mieli wyczekać dla lepszego skutku.
Woronców ciągle pogrążony w smutku
Po stratach, które codziennie ponosił,
Już na wojenną radę wszystkich sprosił,
I miał rozpocząć wkrótce rejteradę
Nie wiedząc tego, że mu taką zdradę
Kazikumuchski władca przygotował;
Lecz go brat chana od niej wyratował.

Digitized by Google

Przed parą laty chan już podchmielony
Siedział swojemi gośćmi okrążony,
I opowiadał im różne przygody.
Przy drzwiach stał chański brat Agałar młody,
Bo nie śmiał siedzieć przy swym starszym bracie.
Wtem chan powiada: „Pojęcia nie macie
Jak ślepo moje spełniają rozkazy.“
I ledwie tylko te skończył wyrazy,
Każe by nukier strzelał w jego brata.
„Chanie“, rzekł nukier, „choć mię zgładź ze świata
A od mej kuli chański brat nie zginie,
Bo w nim i w tobie krew jednaka płynie!“
Chan zbladł ze złości, a już był pijany,
Powstaje z miejsca strasznie rozgniewany,
Spiesznie pistolet porywa, wypalił
I krwią zbroczony nukier się powalił.
Zadrżał Agałar widząc trup skrwawiony,
Lecz, powstrzymując w sobie gniew szalony,
Nienawiść wieczną zaprzysiągł dla brata.
Już od tej pory minęły dwa lata.
Agałar jednak przysięgi dochował.
Chcąc podejść brata w parowie się schował,
I kiedy goniec jechał od Szamila
Z uwiadomieniem, że nadeszła chwila
Plan ułożony przyprowadzić w życie,
Zabił posłańca, a papiery skrycie
Oddał Moskalom. Na drugi dzień zrana
Woroncow kazał zaraz wezwać chana,
I pokryjomu zadusić go potem,
A Agałara, gdy pójdą z powrotem,
Na miejsce brata do chaństwa wprowadzić
Za to, że nie dał bratu Moskwy zdradzić.
Kiedy nadeszła już odwrotu chwila,
Wieści o zdradzie doszły do Szamila.
Klęska to była dla imama sroga,
Lecz choć zdradzony, uderzył na wroga

Digitized by Google

I w kilku miejscach pobił namiestnika.
Wszyscy Moskale przeklinali Dzika,
Bo przy odwrocie dużo im zawinił,
I do klęsk Moskwy głównie się przyczynił;
A klęski wtenczas tak znaczne ponieśli,
Że nim do granic się swoich wynieśli,
Wojska stracili piętnaście tysięcy,
Cztery armaty, jeżeli nie więcej,
Całutki obóz, dużo amunicyi,
Prócz strat ogromnych przed zejściem z pozycyi.

Digitized by Google

Digitized by Google

PRZYGODY

JULIUSZA WITKOWSKIEGO.

Digitized by Google

Digitized by Google

Przygody Juliusza Witkowskiego.

Zesłany z Litwy na Kaukaz w sołdaty
Juliusz Witkowski był dosyć bogaty
Bardzo dowcipny, przystojny i młody.
Przeszedłszy w kraju przez różne przygody,
Oparł się wreszcie aż na Kaspii brzegach,
I tam już biedny w moskiewskich szeregach
Musiał się tułać z żołdakami cara.
Trzeba nieszczęścia, by kobieta stara
Do tego jeszcze żona jenerała,
W młodym Juliuszu tak się rozkochała,
Gdy stał na warcie koło jej przedsionka,
Że uprosiła swojego małżonka,
Aby go przyjął za metra do dzieci.
Myślała bowiem, że i ją oświeci,
Gdy guwernerem w ich domu zostanie,
„A słowo pańskie niech ciałem się stanie!“
Wyrzekły nieba, i biedny chłopczyna
Za profesora był wzięty do syna.
Jenerałowa mimo lic zmarszczonych,
Lat piędziesięciu i ząbków wprawionych,
Obok nieznacznie przywdzianej peruki,
Czerpiąc ozdoby z kosmetycznej sztuki,
Do swej starości się przyznać nie chciała,
Co więcej, jeszcze wielbiciela miała,

A tym — adjutant jej męża się mienił.
Chociaż wielbiciel nie tak wdzięki cenił,
Ale korzyści, których miał nie mało,
Jenerałowej się jednak zdawało,
Że i Juliusza oszukać potrafi,
A jak wdzięk sztuczny do gustu mu trafi,
Wtenczas i serce jej odda młodzieniec.
Więc wystrojona jak dziewczę pod wieniec,
Zlawszy wonnemi perfumy ubranie,
Wyszła do sali na Julka spotkanie.
Chytry adjutant, co przez te koleje
Sam już przechodził, widząc, co się dzieje,
Odgadł, że Juliusz był w guście jejmości
Bardziej, że zaraz po tej znajomości
Janerałowa, co zawsze tak chętnie
Z nim rozmawiała, potem obojętnie
Prawie z niechęcią powie dwa trzy słowa
I na tem cała się kończy rozmowa.
Więc obrażony zaczął głowę łamać
Jakby biednego Juliusza okłamać,
Potem nań ściągnąć zwierzchniczki nienawiść,
I swoją wtenczas uspokoić zawiść.
Jenerałowa zupełnie przeciwnie
Adjutantowi ledwie głową kiwnie,
Gdy go napotka, czasem powie słowo,
A czasem przejdzie z pochyloną głową,
Lub przy okazyi wyśmieje, wyszydzi,
To uda, że go wśród gości nie widzi,
Aby uniknąć nieznośnej rozmowy,
Za to jak wejdzie nauczyciel nowy,
Zaraz wyrusza do niego w zaloty,
I wpadłe oczy jej błyszczą jak kwoty,
I radość jakaś na zmarszczki wybije,
I póty za nim jak żmija się wije,
Póki do dłuższej nie wciągnie rozmowy.
Lecz Juliusz zawsze posępny, surowy

Nawet być grzecznym dla niej się nie trudzi;
Lub, gdy go jejmość już bardzo wynudzi,
Szuka zręczności i z sali wychodzi.
Tak tydzień, drugi i miesiąc przechodzi.
Jenerałowa raz mówi z wieczora:
„Teraz dnie ładne, najlepsza więc pora
Zrobić wycieczkę z Derbentu na góry,
Tam zobaczymy starożytne mury,
I wrócim sobie do miasta wieczorem."
Nazajutrz zrana jejmość z całym dworem,
Zabrawszy z sobą i pana Juliusza,
Do ruin starej fortecy wyrusza,
I tam się jemu oświadcza w miłości;
Lecz w chwili, kiedy błagała litości
Dla swego serca u pana Juliusza,
Wiatr ją pozbawił nagle kapelusza
Razem z peruką, jak gdyby za karę,
I Juliusz ujrzał przed sobą poczwarę
Łysą zupełnie, szpetniejszą od grzechu,
W roli kochanki śmieszniejszą od śmiechu.
Bo miłość jeszcze na ustach błądziła,
Gdy niespodzianie przygoda niemiła
Sędziwą głowę wyzuła z peruki,
A pożyczony z kosmetycznej sztuki
Wdzięk młodej twarzy przy starej łysinie
Stał się tak śmiesznym, jak cynizm w dziewczynie,
Co nie skończyła szesnastego roku,
Z miłością w ustach i z łezką w oku.
Sędziwa lwica wraz z młodym Juliuszem
Pędzić musiała za swym kapeluszem,
Wiatr bowiem w różne pomiatał nim strony;
Nareszcie złapał go młodzian zmęczony;
Jenerałowa ugięła swą głowę,
I kontynując miłośną rozmowę,
Z pomocą Julka nakryła łysinkę,
Potem, udając naiwną dziewczynkę,

Digitized by Google

Zaczęła robić bukieciki, wianki,
Że kapelusik potrzebny z jej główki;
Śmiał tak daleko i śpiesznie wracać.
Wreszcie kazała mu siebie przeprosić,
Sama zaś zgrabnie dygnęła Juliowi,
I pogroziwszy paluszkiem wiatrowi,
Ruszyła w krzaki zbierać polne [illegible];
A gdy usługa stojąca na górze
Już znikła z oczu, jejmość w rozczuleniu
Ciągle oparta na Julka ramieniu,
Ręką mu szyję objęła powoli,
I biedny młodzian musiał mimowoli
Oddać swe usta na pastwę jejmości.
Z wycieczki wrócił [illegible] złości,
Bo go miłością swą jejmość zamęczyła,
A że w Derbencie polska młodzież była,
Więc poszedł, by się wśród grona ożywić.
Wszyscy rodacy zaczęli się dziwić,
Że go tak długo nie było w ich gronie;
A Juliusz stając we własnej obronie
Wycieczką swoją niedługą tłumaczył.
„He!" rzekł mu który, „wiem, co to znaczy
Taka wycieczka, lecz gdyś wiele widział,
Coście widzieli, racz nam opowiedzieć."
„Cóż?" odrzekł Juliusz, „patrzyłem z daleka,
Jak jedne góry drugie oglądały,
Bo na tej górze z przybyciem jejmości
Były ciekawe dwie starożytności."
Lecz gdy to mówił, wtem i nie wiedział,
Że i adjutant w pokoju tam siedział,
Świec bowiem jeszcze nie zapalono.
Spostrzegł się, kiedy już światło podano;
Ale zapóźno, bo nazajutrz zrana
Jenerałowa jeszcze nie ubrana
Słuchała raport swego oblubieńca,
Który z ironią szykany młodzieńca

Przez dawną przyjaźń powtarzał jejmości.
Gdy skończył, baba pobladła ze złości
I mówiąc tylko: „Zduszę go jak węża!“
Włożyła bluzę i poszła do męża
Blada okropnie. Mąż pyta: „Co tobie?“
A ta mu z płaczem: „Ach! wyobraź sobie,
Do jakiej Juliusz już doszedł śmiałości!
Ten błazen mnie się oświadczył w miłości!
I niby mdlejąc, wciąż łzami zalana
Z gracyą upadła na męża kolana.
Jenerał, widząc łzy i boleść żony,
Zgrzytnął zębami jak lew wrażony
I wrzeszcząc ciągle: „Ja jego zabiję!“
Natychmiast skazał Juliusza na kije.
Biedny chłopczyna cierpiał straszne męki
Za to, że nie chciał uwielbiać te wdzięki,
Które uwielbiał adjutant bezczelny.
Na szczęście Julka latem wódz naczelny
Ruszył z oddziałem i biedny chłopczyna
Wpadł do niewoli, a tam go jak syna
Pokochał jakiś Czeczeniec poczciwy;
Ale i wtenczas jenerał złośliwy
Chcąc go oczernić w raporcie zwierzchności
Doniósł, że Juliusz korzystał z ciemności
Gdy szli wieczorem, i uciekł z szeregów.
Sztab go zaciągnąć kazał w listę zbiegów,
I za takiego w rozkazie ogłosił,
Adjutant znów się z jejmością przeprosił,
A biedny Juliusz w czeczeńskiej rodzinie
Po ciężkiej pracy siadłszy przy kominie
Westchnie za krajem, czasem łzę uroni,
Lub, głowę wsparłszy na zgrubiałej dłoni,
Przebiegnie myślą przeżyte już dzieje,
I myśli sobie, przez jakie koleje
Jeszcze się przyjdzie przechodzić w niewoli;
A gdy go czasem co mocno zaboli,

Digitized by Google

Idzie do lasu między gęste sosny
I jak skowronek, co w jasny dzień wiosny
Aż pod Niebiosa z swym hymnem się wznosi,
Tak on tam duszę ku Niebu podnosi,
Błagając twórcę o litość dla siebie,
I błaga póty, nim Pan Bóg na Niebie
Więźnia biednego prośby nie wysłucha,
A gdy do serca już wstąpi otucha
Dziękuje Temu, kto nań zlał pociechę,
Potem się wraca pod władców swych strzechę,
I tam jak zwykle pracuje do zmroku.
Czeczeniec miał go z początku na oku,
Lecz gdy zobaczył, że biedny chłopczyna
Nie chce uciekać, pokochał jak syna,
A że sam był już staruszek zgrzybiały
Więc Juliuszowi majątek swój cały
W zarząd powierzył, i tak go polubił
Że swoją córkę za niego zaślubił.
Śliczna Czeczenka, samotnych puszcz dziecię,
Kochając Julka nad wszystko na świecie,
Czem tylko mogła, cieszyła go w smutku;
Lub kiedy czasem zostały bez skutku
Wszystkie zabiegi nad troską Juliusza,
Siadała przy nim i tkliwa jej dusza
Łezką współczucia jak żywym wyrazem
Mówiła jasno, że tęskni z nim razem,
Że oddać życie dla niego gotowa,
I póty trwała ta niema rozmowa,
Póki się Juliusz nie przestanie smucić;
A wtenczas zaraz zaczynała nócić,
Bijąc rączkami w bębenek gwarliwy.
Na ustach błądził już uśmiech szczęśliwy,
I wdzięczne lica radością jaśniały,
A oczy czarne, co przedtem płakały,
Jaśniejąc szczęściem, dowodnie mówiły:
„Porzuć twe troski, Juliuszu mój miły!

I złe i dobre jak sen mija przecie,
Pocóż więc wzdychać do szczęścia na świecie?
Dwa lata przęszły jak dwie chwile błogie,
Juliusz zapomniał przygody złowrogie
Obok nadobnej małżonki i syna,
Ale wybiła znów nieszczęść godzina:
Do Czeczni wpadły moskiewskie oddziały,
I Juliusz, walcząc na wałach dzień cały,
Wieczorem znowu wpadł w ręce Moskali,
Lecz zaraz zeznał, gdy go się spytali,
Że jest żołnierzem z moskiewskich szeregów;
Nie wiedział bowiem, że na listę zbiegów
Został wpisany bardziej, że w niewoli
Był wypadkowo, a nie z własnej woli.
Więc wyznał prawdę bez żadnych wybiegów,
Lecz gdy powrócił do dawnych szeregów
Jenerał, mszcząc się za krzywdę jejmości,
Kontent, że może dogodzić swej złości,
Kazał go sądzić jako dezertera.
Potem zawołał swego oficera,
Którego w sądzie prezesem naznaczył,
I zaczął prosić, by tak wytłómaczył
Całą rzecz, jeźli to można uczynić,
Aby Juliusza koniecznie obwinić.
Oficer kontent, że jenerał stary
Tyle okazał mu względów i wiary,
Przy śledztwie takich natworzył podłości,
Że biedny Juliusz przy swej niewinności
Kijów odebrać musiał dwa tysiące,
I to tak jeszcze, że co trzy miesiące
Dawali pięćset i zaraz leczyli,
A gdy wyzdrowiał kijami znów bili.
Przeniósł Witkowski zniewagę i mordy,
Ale niebawem zebrawszy swe hordy
Książę Worońców wszedł z Czecznią w zapasy.
Armia potężna w Iczkieryńskie lasy

Już się wciągnęła co do jednej nogi;
Lecz trzeba było znać dobrze te drogi,
Żeby nie błądzić. Więc za przewodnika
Z rekomendacyi swego naczelnika
Juliusz natychmiast został naznaczony.
Przed parą laty, rzucając te strony,
Młody niewolnik lesistej krainy
Nigdy nie myślał, że bez żadnej winy
Moskwa go skaże na takie cierpienia.
Gdy wszedł w te lasy, niedawne zdarzenia
Żywo stanęły w pamięci Juliusza,
A krzywdą Litwy urażona dusza
Zaraz plan zemsty usnuła mu w myśli.
Moskale byli od niego zawiśli.
On bowiem tylko znał dobrze tę puszczę,
W którą wprowadził stotysięczną tłuszczę.
Prócz tego miał już stosunki w tej stronie,
A zemsta wrząca w nienawistnem łonie
Szeptała ciągle, że zbliża się pora
Odemścić wrogom. Już koło wieczora
Moskwa stanęła na nocleg wśród lasu
W miejscu, z którego w pół godziny czasu
Można się było dostać do Szamila.
Juliusz wyczekał, i gdy przyszła chwila
Najpomyślniejsza dla jego zamysłu,
Śpiesznie wyruszył w drogę bez namysłu.
Koło samego obozu Czeczeńców
Kilku stojących na straży młodzieńców
Poznało Julka, i kiedy im grzecznie
Zaczął objaśniać, że musi koniecznie
Natychmiast z samym Szamilem pomówić,
Jeden z ich grona wnet dał się namówić,
By do imama pokazać mu drogę.
Szamil natychmiast oglądał załogę,
I, zobaczywszy z żołnierzem Czeczeńca,
Posłał się spytać, jakiego to jeńca

Digitized by Google

Prowadzą z lasu, a kiedy wysłany
Powiedział jemu, że jeniec mniemany
Przybył do niego w zbyt ważnej potrzebie,
Kazał natychmiast prosić go do siebie,
I gdy już przyszedł, zapytał ciekawie:
„Zkąd cię Bóg przyniósł i w jakiej to sprawie
Balsam pociechy chcesz wlać do mej duszy?
Gwoździem uwagi przybiłem me uszy,
Zawsze łaknące usłyszeć twą mowę.“
Juliusz, do pasa naginając głowę,
Koniec imama ucałował szaty,
A potem mówił: „Niedawnemi laty
Tu w twoich lasach, potężny imanie!
Broniąc twych kułów, i wiary twej znamię,
Wpadłem w niewolę ohydnych Moskali.
Żona i syn mój w twych ziemiach zostali,
Mnie zaś dotychczas ciemiężył wróg srogi,
A teraz żąda bym wskazał mu drogi,
Chce bowiem twoje zrabować auły.
Lecz, raz stanąwszy pomiędzy twe kuły,
Skrycie przybyłem się z tobą naradzić
Dokąd mi każesz Moskali wprowadzić,
Aby rozprószyć ich siły zupełnie,
A co mi każesz, z pewnością wypełnię,
Bo zemsta daje mi prawo do zdrady.
Spojrzyj, imanie! na ciężkich mąk ślady,
Które niewinnie wróg znosić mi kazał!“
Mówiąc to, nagie swe plecy pokazał,
Na których szramy od kijów zostały,
I mówił dalej: „Cierpiałem rok cały,
A teraz tylko chcę mścić się nad wrogiem.
Rozkaż, imamie! a klnę ci się Bogiem,
Że zrobię wszystko dla zguby Moskali.“
„Jeżeli Prorok twe życie ocali,“
Rzekł Szamil drżącym od radości głosem,
„To będziesz widział, jakim strasznym ciosem

Pomszczę giaurom za twoje cierpienia.
Tylko skorzystaj z dobrego zdarzenia!“
„Czy byłeś kiedy w Iczkierskiej dolinie?“
„Byłem“ rzekł Juliusz. „Otóż tam, gdzie płynie
Rzeczka Argunaj, pomiędzy lasami
Leży dokoła ujęta górami
Duża płaszczyzna, więc trzeba tak radzić,
By tam Moskali na nocleg wprowadzić,
Natenczas wszyscy wyginą odrazu!“
Juliusz wysłuchał całego rozkazu,
I zaraz wrócił do swoich szeregów.
Potem z pomocą dość zręcznych wybiegów
W miejsce wskazane Moskali wprowadził,
I tejże nocy, kiedy już ich zdradził,
Sam do Szamila szczęśliwie się schronił.
W północ chmurami się błękit zasłonił,
Zmęczone hordy zasnęły po pracy,
Wartowi tylko nie spali żołdacy,
Gdy Szamil nagle uderzył od lasu.
Straż nawet ognia nie miała dać czasu,
Bo zanim kurki odwiodła, skonała.
Wtenczas dopiero już walka zawrzała.
Wśród nocy ciemnej wszędzie hałas dziki
Zmięszany z jękiem przeleciał przez szyki,
Zalegające plac duży grupami,
I krew z serc sennych, tryskając strugami
Życie z żołdaków śpiących unosiła.
Nim cała horda ze snu się zbudziła,
Już stosy trupów leżały na piasku,
A tłum miurydów przy słabym odblasku
Ognisk płonących na wzniosłych gór szczycie
Żwawą ucieczką, ratując swe życie,
Ukrył się w lasów sąsiednich gęstwinie,
I tam już czekał, dopóki noc minie.
Nazajutrz zrana mężnej Czeczni syny,
Zająwszy wzgórza dokoła doliny,

Digitized by Google

Odcięli Moskwę zupełnie od drogi,
I sypiąc strzały śmiertelne na wrogi
Wparli do lasu, gdzie dróg już nie było,
Potem natarli nań całą swą siłą,
W gęstych zaroślach na miazgę pobili,
I aż do samej granicy pędzili.
Ze stotysięcznej hordy Worońcowa
W dolinie jeszcze poległa połowa,
Reszta w niewoli i lasach została,
Tak, że dwadzieścia tysięcy bez mała
Wróciło tylko nieszczęsnych Moskali.
Już przy odwrocie Czerkiesi zabrali
Moskiewski obóz, armaty i kasę,
Prócz tego jeszcze amunicyi masę,
A niewolników pędzili jak trzody.
Gdy obliczyła Moskwa wszystkie szkody,
Jakie poniosła w przeciągu wyprawy,
To oprócz ludzi i straconej sławy,
Cztery miliony się rubli zebrało.
Trzeba wypadku, aby tak się stało,
Że ten oficer, który Julka sądził
Już koło samej granicy zabłądził,
I wraz z innymi wpadł w ręce Czeczeńców,
Szamil niebawem, oglądając jeńców,
Spytał Juliusza, czy w lesie złapany
Oficer nie jest czasami mu znany?
„Znam go“, rzekł Juliusz, „bo z jego przyczyny
Rok cały karę cierpiałem bez winy.“
„A więc“, rzekł Szamil „gdy takiej był woli,
Niechaj sam teraz zobaczy jak boli
Kara tak sroga, na jaką cię skazał.
I dwa tysiące plag sypnąć mu kazał,
Ale oficer był człowiek już stary,
Więc życie skończył w połowie swej kary.
Chcąc się odemścić za armii niesławę
Worończów zaraz skończywszy wyprawę,

Digitized by Google

Kazał ogłosić w całym Dahestanie,
Że pół miliona od niego dostanie
Ten, kto Szamila przyniesie mu głowę
Wkrótce z imamem prowadząc rozmowę,
Ktoś mu powiedział o tem obwieszczeniu,
Szamil wysłuchał to w wielkiem zdziwieniu.
Potem napisał list do Worońcowa
Dziękując, że mu „tak drogą jest głowa
Władcy Czerkiesów, gdy za zdjętą z karku
Chce pół miliona dać rubli w podarku,
Bo on za żywą głowę namiestnika
Nie wie, czy dałby jednego fenika.“

Digitized by Google

SZELEGIŃSKIE POWSTANIE.

Digitized by Google

Digitized by Google

Szełegińskie powstanie.

Było to w zimie, już upadły śniegi,
Kiedy powstały Kajtach i Szełegi.
Na płaskim grzbiecie gór po nad wąwozem
Garstka Czerkiesów stanęła obozem,
I sypiąc szańce u samego wejścia,
Strzegła go pilnie od wrogów nadejścia.
Tuż za wąwozem na pięknej dolinie,
Co gdzieś daleko aż za lasem ginie,
Przed wsią, ukrytą w dosyć gęstych krzakach,
Stanęła jazda na dzielnych rumakach,
A we wsi samej i w drugiej na górze,
Co zawsze prawie tonie w gęstej chmurze,
Był ruch niezwykły, wszystko się krzątało;
Grono młodzieńców przed wsią wał sypało,
Drobne zaś dzieci, starcy i dziewice
Reperowały popsute strzelnice.
Kobiety niosły aż w sąsiednie lasy
Chować przed wrogiem domowe zapasy,
A wieść krążyła w całym Dahestanie,
Że świeże w górach wybuchło powstanie.
Natychmiast chciwe na zbrodnie i mordy
Zewsząd moskiewskie ruszyły się hordy.
Wkrótce i nasz pułk, rozkazem znaglony,
Forsownym marszem pośpieszył w te strony,

Digitized by Google

Kilka dni drogi górzystej, nieznośnej
Dzieliło tylko i od walki groźnej,
Którą moskiewskie hordy stoczyć miały.
W sześć dni już wszystkie ciągnące oddziały
Stanęły razem, lecz każden zmęczony;
Więc szturm do rana został odłożony,
A po pagórkach, co pokrył śnieg biały,
Hufce czerkieskie wszędzie się zwijały.
Czyś widział, kiedy, jak w burce kosmatej,
Z gwintówką w ręku i w czapce kudłatej
Na dzikim koniu, ze sztyletem w zębach,
Jak błyskawica niknąc w pyłu kłębach,
Czerkies w bój leci z krwią zabiegłem okiem,
I razi wroga i bronią i wzrokiem?
Z hufców jadących wysunął się czasem
Waleczny rycerz, i z dzikim hałasem,
Jak wąż, kark wygiął aż pod pierś rumaka
I, wystrzeliwszy do Moskwy biwaka,
Kark swój z pod konia w galopie wywinął,
Zawył jak szakal i już z oka ginął.
Zmierzchać zaczęło, rozstawiono warty,
A przy ogniskach i śmiechy i żarty
W całym obozie słyszeć się dawały.
Po górach wszędzie światła się migały
I śpiew żałobny mułły z za wąwozu
Echo nosiło czasem do obozu...
Widać, że garstka Czerkiesów przed bitwą
Krzepiła ducha wieczorną modlitwą.
Ucichła wreszcie wrzawa obozowa,
Już nawet ognisk wygasła połowa,
I tylko szumiał mroźny wiatr z północy,
A sen odwieczny, pobratymiec nocy,
Żelazną ręką przygniótłszy źrenice,
Lał w senne dusze marzeń tajemnice.
Echo, swawolne przedrzeźniając kroki
Przemarzłej warty, niosło je w obłoki.

I blady księżyc z za sąsiedniej góry
Wychylił głowę, i pełzł między chmury.
Cisza ta trwała aż do nocy końca,
Ale nazajutrz ledwie promień słońca
Upadł na ziemię i oświecił góry,
Zbudzone ze snu rozpierzchły się chmury
I hordy Moskwy ze swego obozu
Ruszyły śpiesznie drogą do wąwozu.
Na blizkich szańcach w ogromnym zawoju
Mułła Czerkiesów zwoływał do boju,
I głos przeciągły Mahometa syna
Leciał zwiastować, że przyszła godzina
Wydobyć z pochew ostre pugінały.
Po wszystkich górach wnet słyszeć się dały
Głośne modlitwy błagające Boga
O męztwo dla się, i o śmierć dla wroga.
W tem dały ognia rozstawione działa
Zadrżała ziemia i krew się polała,
Grad kul się sypnął z szańców przeciwległych
I głośne „hura“, wśród trupów poległych
Przebrzmiało wszędzie razem z rannych jękiem,
Tententem koni i pałaszy brzękiem.
Bój wrzał zacięty, sypały się strzały,
Paszcze dział grzmiących płomieniem buchały,
I stosy trupów waliły się w śniegi,
Już przerzedzone moskiewskie szeregi,
Depcząc po rannych nieraz się ściskały!
Wreszcie do szturmu podano sygnały
I bój zacięty przeniósł się do szańców,
Mężnie spotkała nacisk garść wybrańców,
Lecz w boju żadną nie wsparta pomocą
Skonała wkrótce pod Moskwy przemocą,
A szańce w ręce wrogów się dostały.
Lecz za wąwozem hufce jazdy stały,
I, gdzie w dolinę już wychodzi droga,
Szarżą spotkały przeważnego wroga

Najeżonego grupami bagnetów.
Znów krew trysnęła z pod mściwych sztyletów,
Zadrżała ziemia pod tententem koni,
I tylko jęki słychać i szczęk broni,
A nad doliną grzmiała dzika wrzawa,
I kopytami podjęta kurzawa
Śnieżystą falą wiła się w obłoki,
Pustoszeć zaczął boju plac szeroki,
Rzadziej strzelały zmordowane działa;
Nareszcie jazda czerkieska tył dała,
I do aułu popędziła cwałem,
Kryjąc się spiesznie za wysokim wałem.
Szturmować auł już było za późno,
Bo zmrok zapadał, a postawą groźną
Nadbrzeżne sakle nie obiecywały,
Aby się wrogom prędko zdobyć dały;
Więc szturm do rana znowu odłożono,
Natychmiast mnóstwo ognisk rozłożono,
By ogrzać rannych przyciśniętych mrozem,
Cały zaś oddział stanąwszy obozem,
W ciemności nocy swoje trupy zbierał,
Cudze zaś tylko do naga obdzierał;
Bo rannych, którzy uciec nie zdołali,
Zaraz po bitwie wszystkich mordowali,
Kilku zaledwie przy życiu zostało
Z tych, co się później w niewolę dostało,
Rzuciłem okiem na pobojowisko,
Jakież tam było okropne zjawisko!
Mnóstwo kadłubów i kawały broni,
I nagie ciała wśród zabitych koni,
Cały plac boju pokrył się trupami!
I ścierwo wszędzie leżało stosami!
Tu jęczał ranny, tam rżał koń żałośnie,
A wszystkie twarze skrzywione nieznośnie,
Okropnej męki nosiły znamiona.
Przestałem patrzeć, bo duszą zraniona

Dłużej nie mogła znieść tego widoku.
Z boleścią w sercu, i, ze łzą na oku
W przeciwną stronę skierowałem kroki,
I dziś, gdy wspomnę boju plac szeroki,
Dusza się wzdryga na samo wspomnienie,
I w sercu dawne budzi się cierpienie,
W obozie horda carskich nagród chciwa,
Wśród trupów bratnich, ze zwycięztw szczęśliwa
Stała u ognisk; ten pił, ów zajadał,
Inny o zajściach w boju opowiadał;
Tu rannych nieśli, tam leżały trupy,
Lub się dzieliły krwią zdobyte łupy.
Jęk rannych zlał się z hord wesołych śmiechem,
I góry wszystko odbiły to echem.
A z blizkiej wioski, jakby jęk boleści,
Stroskanych ojców i lament niewieści
Wiatr nad obozem niósł w lasów krainy.
O! płaczcie matki, bo już wasze syny
Nie wstaną więcej bronić swego kraju,
Może ich dusze są już teraz w raju,
Ale na ziemi leżą jeszcze zwłoki,
I z serc przebitych płyną krwi potoki.
Niechaj łzy wasze z synów krwią się zleją!
A wy, co szczęścia blizkiego nadzieją
Żyłyście tylko, nadobne kochanki!
Dla bohaterów waszych splećcie wianki,
I przyjdźcie niemi ozdobić mogiły,
Bo serca, które wczoraj dla was biły,
Dzisiaj, konając, z siebie krew wylały
W obronie waszej i ojczystej chwały!
Trupy kochanków waszych już w mogiłach
A krew waleczna co krążyła w żyłach
Dla szczęścia kraju, na szańców ruinie,
Dymi się jeszcze i strugami płynie.
Już było późno; wygasły ogniska,
Gdzie niegdzie tylko, czasem płomyk błyska

Digitized by Google

Jak upior nocny, co z duchów krainy,
Na ziemię wrócił cierpieć za swe winy,
Ale gdy tylko pierwszy kur zapieje,
Śpieszy na cmentarz i tam się rozwieje.
Zmęczone hordy zasnęły na mrozie,
A roje marzeń, błądząc po obozie,
Balsam pociechy lały w senne dusze,
Lub widmem strasznem wprawiając w katusze
Budziły ze snu zmordowane ciało,
Które po chwili już znów mocno spało.
To ranny czasem zajęczy i skona,
To krzyknie sowa ze snu przebudzona,
I krzyk jej echo po górach rozniesie,
Lub głodny szakal w niedalekim lesie,
Poczuwszy trupa, przeraźliwie wyje.
Księżyc to skona, to znowu ożyje,
Na ziemię spojrzy konającym wzrokiem,
I przerażony świeżej krwi potokiem,
Do gwiazd się tuląc, w obłoki ucieka.
Czasem w aule blizkim pies zaszczeka:
Głos jego, długo błądząc po dolinie,
Kona nareszcie, i pod lasem ginie,
I znowu cisza — tylko gwiazdy błyszczą,
I mroźne wiatry po mogiłach świszczą.
Aż wtem jutrzenka na zgubę księżyca
Z błękitu swoje wychyliła lica,
I cudnym blaskiem jaśniejąc na niebie
Promienie słońca zwabiła do siebie:
Zbudzone orły, porzuciwszy skały
W różnych kierunkach nad ziemią pływały,
Lub martwem skrzydłem sparłszy się w obłoku,
Stały jak punkta, ledwie widne oku.
Do wsi wracały Czerkiesów wedety,
I dźwięcznym głosem brzmiące minarety
Do porannego wzywały namazu.
Hordy moskiewskie, czekając rozkazu

Na rychły wymarsz, łączyły się w grupy,
I tylko w śniegach kostniejące trupy
Snem bohaterskim na dolinie spały.
Nareszcie trąby donośnie zagrzmiały
I cała horda z najdzikszym hałasem
Ruszyła do wsi leżącej pod lasem.
Tysiąc gwintówek nad wałem sterczących
Spotkało strzałem Moskali idących,
A od doliny zaryczały działa,
I znowu walka okropna zawrzała.
Już trzykroć atak został przypuszczony,
I po raz trzeci moskiewskie szwadrony
Pierzchnęły z wałów niedopiąwszy celu,
Już i w piechocie trupem padło wielu,
Kiedy z doliny dał znać bęben szumny,
By na szturm wszystkie ruszyły kolumny.
Po krwawem starciu Czerkiesi pierzchnęli,
I do aułu się śpiesznie cofnęli,
A cała horda z okrzyki dzikimi,
Zdobywszy wały, ruszyła za nimi,
Lecz ledwie w pierwszą wkroczyła ulicę,
Natychmiast wszystkie zagrzmiały strzelnice,
Ognia dać nawet nie zdążyły działa,
Gdy już wybita usługa skonała,
I konie padły pod ostrzem sztyletów,
A na wierzchołku groźnych minaretów
Przeciągłe głosy zabrzmiały, jak dzwony,
Wzywając auł do mężnej obrony.
Po wszystkich saklach okrzyki szydercze
Gruchnęły zaraz i strzały mordercze
Razić zaczęły przerażone hordy.
To była zemsta za wczorajsze mordy.
Jeszcze arbami zagrodzona droga,
Dość często w marszu zatrzymując wroga,
Pod celnym ogniem miurydów zawziętych
Szerzyła stratę w hufcach strachem zdjętych

Tak, że nim w rynek horda się dostała,
Piąta część prawie w ulicach skonała.
Lecz z rynku za to moskiewskie harmaty
Zaczęły rzucać pośpiesznie granaty,
Szerząc po całym aule pożogę,
O! żebyś widział tę mężną załogę,
Gdy już pożarem zajęły się gmachy,
Jak wśród płomieni stanąwszy na dachy
Walczyła jeszcze i z ostatnim strzałem
Konała, ognia pochłonięta wałem,
I nikła w gmachów płonących ruinie!
Na nienabitym wsparty karabinie
Obok mnie stojąc Zaremba poczciwy
Z litością patrzył na lud nieszczęśliwy,
Ginący w ogniu za ojczystą sprawę,
„Kiedyż“, rzekł, „wreszcie przyjdzie się Warszawę
Bronić od wrogów z takiem poświęceniem?“
I dusza długiem nękana cierpieniem
Łzę wycisnęła na wygnańca oko;
Pierś zdjęta żalem westchnęła głęboko,
Chciał mówić dalej, lecz kulą rażony,
Nagle się zachwiał, i upadł zemdlony.
Z piersi przebitej ciekła krew potokiem,
Ocknął się wkrótce, obłąkanym wzrokiem
Na północ spojrzał, i w okropnej męce
Do piersi moje przyciskając ręce
Rzekł słabym głosem: „Koniec troskom przecie!
Może mi będzie lżej na tamtym świecie,
Wołaj rodaków, bo może za chwilę
Już moje zwłoki schowacie w mogile;
Niechaj przynajmniej pożegnam się z wami!“
Westchnął głęboko, i zalał się łzami.
Z boleścią w sercu do blizkich szeregów
Płacząc pobiegłem szukać mych kolegów;
Przyszliśmy wszyscy, Zaremba żył jeszcze.
Chodźcie!“ rzekł, „niechaj się z wami napieszczę

Digitized by Google

Nim zwłoki moje spoczną w obcej ziemi,
Lżej jakoś konać pomiędzy swojemi.“
Klękliśmy przy nim, on nam ścisnął dłonie,
I mówił dalej: „A po moim skonie,
Wy moją matkę pocieszcie w rozpaczy,
Biedna! już więcej syna nie zobaczy.
Czemuż nie w Polsce spoczną moje zwłoki?
Bo tu mi ciężko.“ Nagle krwi potoki
Trysnęły z rany, czoło zaszło mrokiem.
Z niemą rozpaczą konającym wzrokiem
Wszystkich nas jeszcze raz ostatni zmierzył,
Westchnął głęboko, i więcej już nie żył.
A pożar ciągle szerzył się w aule,
Rojami wszędzie sypały się kule,
I dysząc ogniem moskiewskie armaty,
Z paszcz wyrzygały jęczące granaty.
Wtem runął meczet, i minaret stary,
Powoli gasnąć zaczęły pożary,
Bo już się wszystko prawie popaliło,
Kilka zaledwie całych sakli było,
Gdzie Buchmahomet, wódz walecznych kmieci,
Bronił się jeszcze z garstką swoich dzieci.
Już czwarta kula w piersi starca tkwiła,
Gdy szturm ostatni Moskwa przypuściła.
Co do jednego zginęła załoga,
I starzec ranny wpadł w niewolę wroga,
A Kajtach jeszcze, auł dosyć silny,
Pokryty śniegiem jak posąg mogilny
W milczeniu czekał od wodza sygnału,
By bój rozpocząć. Już gwintówki z wału,
Rozwarłszy paszcze, wyglądały skrycie
Jakby czekając na wodza przybycie;
Lecz wódz, nie znając Moskwy położenia
Z niewoli wszędzie rozesłał zlecenia,
Aby unikać nadal z hordą boju.
Moskwa nie miała już ani naboju,

Digitized by Google

Bo w dwóch dniach wszystkie wystrzelane były,
Prócz tego znacznie zmalały jej siły
Tak, że nie tylko nie mogła szturmować,
Lecz nie wiedziała, jak się zrejterować,
I smutna bardzo czekała ją dola,
Gdyby Czerkiesów dowódzcy niewola
Wszystkiemu inny obrót nie nadała.
Jeszcze pomogła zręczność jenerała,
Który nie wiedząc jak zaradzić złemu,
Niby z litości wodzowi rannemu
Zaczął przekładać, że musi koniecznie
I drugi auł zniszczyć ostatecznie,
Jeźli się nie zda, bo rozkaz otrzymał,
By tak postąpić, ale się zatrzymał
Ze szturmem, jeszcze dla tego jedynie,
Że krwi niewinnej i tak wiele płynie.
Rzekł wreszcie: „Wodzu! będziesz dla nich wrogiem,
I ciężko za to odpowiesz przed Bogiem,
Jeźli z poddaniem się każesz im zwlekać,
Bo pół dnia tylko jeszcze mogę czekać,
A jutro zrana za późno już będzie.“
I biedny starzec, widząc zgliszcza wszędzie,
Rozkazał, by się Kajtachcy poddali,
Nie wiedząc, że tem ocalił Moskali.
Kajtach się poddał na drugi dzień zrana
Uznając cara za swojego pana,
I horda wziąwszy z sobą zakładników,
Ruszyła nazad wśród dzikich okrzyków;
Ale przez jakie tylko szła auły
Czerkieski z dachów wszędzie na nią pluły,
I płacząc głośne sypały przekleństwa,
A Susłów kontent ze swego zwycięztwa
Wśród jęku rannych wódką się zalewał,
I razem z hordą dzikie piosnki śpiewał.

Digitized by Google

KOLONIA POLSKA.

Digitized by Google

Digitized by Google

Kolonia Polska.

Już padł Dahestan pod Moskwy przemocą.
Szamil, co myślal z naibów pomocą,
Jeszcze ocalić swój kraj od niewoli
Stokroć zdradzony, musiał mimowoli
Oddać się w ręce ohydnych giaurów;
Niegdyś gór władca, dziś niewolnik murów
Miasta Kaługi, porzucił swe skały
Które przekupstwem moskiewskie oddziały
Zdobyły wreszcie po walce zaciętej
I jak szatani do ziemi zaklętej,
Która wiekami za wiarę krew lała,
Wniosły zepsucie i gdzie tylko tlała
Jeszcze choć iskra honoru i męztwa
Podłem przekupstwem odniosłszy zwycięztwa,
Stłumiły wszystko i wszystko skaziły;
A polskie dzieci co tam się ukryły
Przed knutem cara z moskiewskich szeregów,
Używszy wielu nikczemnych zabiegów,
Moskwa wprzód gwałtem na szyzmę przechrzciła
Potem z nich pierwszą wśród gór założyła
Polską Kolonię szyzmatyckiej wiary.
Tam gdzie swą wodą Kara - Kajsu stary
Preobrażeńska obmywa podnóże,
W andyjskiej ziemi na ogromnej górze,

Digitized by Google

Co sześć tysięcy stóp ma wysokości,
Leży jezioro dość znacznej wielkości,
A nad nim wkoło jak gdyby straż boża
Łańcuch pagórków ująwszy w podnoża
Bezdenne masy wód w rybę obfitych,
Strzeże, by w polach zbożami pokrytych
Podczas powodzi zasiewów nie psuły.
Podanie niesie, że kiedyś auły
Zamożne bardzo w tem miejscu istniały,
Lecz, że adatu się trzymać nie chciały,
Ałłach w noc jedną zgromadził tam wody.
Bo z boju wracał jakiś Czerkies młody
Ciężko raniony i będąc w niemocy
Nigdzie nie znalazł braterskiej pomocy:
Co więcej jeszcze: że jechał z nabiegu,
A w tych aułach nikt nawet noclegu
U siebie nie chciał mu zaproponować,
I rycerz, który się mógł uratować
Od śmierci, jeszcze wśród strasznej ciemności
Musiał gdzie indziej szukać gościnności;
Ale znękany już na góry szczycie
W okropnych mękach zakończył swe życie.
Za to nazajutrz Ałłach zagniewany,
Mszcząc za rycerza, przez cud niespodziany
W jedną noc w wodzie auły pogrążył,
A na tem miejscu, gdzie rycerz ów krążył
Prosząc mieszkańców o pomoc w niedoli,
Woda wirując ciągnie mimowoli
Aż na dno wszystko, co w odmęt ten wpadnie.
Auły bowiem pogrążone na dnie,
Co wprzód nie chciały przyjąć swego brata
Muszą za karę aż do końca świata
Przyciągać wszystko co do nich przypłynie:
A wtenczas może Ałłacha gniew minie,
I kiedy szczerą poprawę zobaczy
Przy końcu świata im winę przebaczy.

Digitized by Google

Izelam zwał się ów wąwóz przeklęty.
Ztąd i jezioro przez cud niepojęty
Stworzone, naród Izelamem zowie.
Mnie opowiadał w poufnej rozmowie
Sędziwy Czerkies wypadek ten cały:
Lecz tak, jak gdyby te cuda się działy
Za jego czasów, chociaż sam powiada,
Że o tem słyszał od swego pradziada,
A pradziadowi mówili przodkowie;
I każden Czerkies to samo opowie
Ze ślepą wiarą: bo sam temu wierzy.
Dziad bowiem, który dawno w grobie leży,
Kłamać wnukowi by nie miał powodu
A dotąd jeszcze historya narodu
Na ustnych tylko tradycyach się wspiera,
Albo już bardzo skażona umiera
W ustach pokoleń ginących w nabiegu.
Na izelamskich wód to właśnie brzegu
Moskwa, przemocą ochrzciwszy Polaków,
Z nowoochrzczonych na prawach kozaków
Pierwszą kolonię stworzyła w tej ziemi
Z tem, że mieszkańcy z potomstwy swojemi
Nie mogą już się wydalać z Kaukazu.
Na mocy tegoż samego rozkazu
Zarząd kolonią otrzymał Iwanów,
Jeden z największych moskiewskich tyranów;
Rozpoczął bowiem tem swe panowanie,
Że nie zważając na matek błaganie,
By namiętności dogodzić, jak Turek,
Harem założył dla siebie z ich córek.
A nikt się jemu nie waży opierać,
Bo życie nawet ma prawo odbierać;
Takie mu carat rozległe dał prawa.
Nieszczęsne matki, dla których niesława
Córek straszniejszą się zdaje od piekła,
Każą ich wdzięki, by namiętność wściekła

Digitized by Google

Władcy Kolonii nie chciała je ścigać.
O jakże ciężko takie jarzmo dźwigać
Tym, co musieli Ojczyznę porzucić
Za to, że chcieli kajdany z niej zrzucić,
Bo znieść nie mogli ohydnej niewoli;
A dziś zhańbieni, znękani, w niedoli
Patrzeć się muszą na męki swych synów,
Na hańbę córek, i w sprawcy tych czynów
Czcić swego władcę. O biedni Polacy
Nad Izelamem! niech wasi rodacy
Z ust mych usłyszą o waszej niedoli,
Bo wam przyrzekłem: że kiedy z niewoli
Bóg mię wydźwignie opowiem, wypłaczę
Przed każdym ziomkiem, którego zobaczę,
To co z ust waszych słyszałem wypadkiem,
I czego byłem naocznym sam świadkiem,
Przed parą laty. Z moskiewskich szeregów
Ruszyłem bowiem odwiedzić kolegów
Nad Izelamu osiedlonych brzegiem:
Koń mój zmęczony całodziennym biegiem
Drapał się w górę po drodze skalistej.
Koło jeziora przy nocy gwiaździstej
Dostrzegłem niby cień ludzkiej postaci
I myślę sobie: to ktoś z naszych braci
Ogląda niewód lub zasiadł na zwierza,
Którego sprzątnąć nad wodą zamierza,
Gdy do jeziora przybliży się z góry.
Wtem mię doleciał jakiś jęk ponury,
Wyrwany z duszy nieszczęściem znękanej,
Więc puszczam konia po trawie zbryzganej
Wilgotną rosą i w kilka chwil biegu
Już widzę jasno: na spienionym brzegu
Srebrzystej wody, przy blasku księżyca,
Leży uspiona, czy zmarła dziewica;
A nad nią stoi staruszek schylony,
I wyje z żalu, jak tygrys zraniony.

Digitized by Google

Strój nie czerkieski, z kolonii jest pewnie —
Więc rzekłem: „Człecze, co płaczesz tak rzewnie
Powiedz mi żalu swojego przyczyny,
Czy ci kto czasem nie skrzywdził dziewczyny,
Lub czy nie słaba, że z ziemi nie wstaje?“
„O! rzekł mi starzec, z twej mowy się zdaje,
Że w polskiej ziemi musiałeś się rodzić.
Bóg cię tu zesłał, by żal mój osłodzić
Bratniem współczuciem, bo klęska dotkliwa
Smiertelnem bolem me serce rozrywa.
Pytasz się, czego ja łzy tutaj leję:
To trup mej córki i nad nim boleję,
Nią tylko bowiem i żyłem na świecie.
Wstań ma pociecho wstań biedne me dziecię,
Lub weź mię z sobą, nie rzucaj jednego,
Weź z sobą córko wygnańca biednego.“
I nieszczęśliwy w rozwarte objęcia
Porwawszy zwłoki skostniałe dziewczęcia
Jęknął, i dziwnym zaniosłszy się śmiechem,
Upadł zemdlony; lecz, jak gdyby echem
Własnego jęku zbudzony znów ożył;
Zwłoki swej córki na ziemi położył;
Sam przy nich ukląkł, i grobowym głosem
Wciąż płacząc jeszcze nad córki swej losem
Zaczął jej śpiewać wieczne odpocznienie.
Gdy skończył pytam go: jakie zdarzenie
Stało się z córką, że życie straciła?
Blada twarz starca znów się ożywiła,
Błysnęły oczy z pod powiek zapadłych
Łzy starł rękawem z policzek wybladłych,
I głosem pełnym goryczy i męki
Rzekł: „Jeszcze w trupie jaśnieją te wdzięki,
Któremi Pan Bóg ozdobił me dziecię,
W duszę wlał wszystko, co tylko na świecie
Pięknem, szlachetnem i wzniosłem się zowie;
Nie brakło także na sercu i głowie,

Digitized by Google

Bo matka serce — ja rozum kształciłem.
Trzy lata będzie, jak żonę straciłem:
Biedna skonała pomiędzy obcemi
Odtąd jedyną pociechą na ziemi
Była mi córka, z nią radość i troski
Dzieliłem społem czekając, nim boski
Gniew nie przeminie nad naszą krainą;
A wtenczas chciałem ze swoją dziewczyną,
Bodajby pieszo, do kraju się dostać.
Ale mych planów zmieniła się postać
Kiedy Moskale Dahestan podbili,
I w kolonistów nas swoich zmienili.
Renegat z musu od chwili przechrzczenia
Razem z mą córką znosiłem cierpienia,
Któremi Moskwa nas gnębić się stara.
Ciężka niewola, narzucona wiara,
Z pomocą knuta nas bowiem tu chrzcili,
I moją córkę o włos nie zabili
Wtenczas, że zmienić swej wiary nie chciała;
Prócz tego nędza we znaki się dała.
Wszystko przeniosło to biedne me dziecię,
Ale już było jej ciężko na świecie.
Nieszczęście chciało, by w nędzy siedlisku
Car oddał władzę na domiar ucisku,
Półkownikowi moskiewskiej piechoty.
Nowy nasz władca nienawidząc cnoty
Chciał skazić wszystko podłością i brudem;
Lecz nie tak łatwo między polskim ludem
Zaszczepić mu się nikczemność udało.
Kilku w dzień pierwszy pod knutem skonało,
Za to że swoją kochając Ojczyznę,
Popów szerzących w ich braciach zgniliznę,
Za swoich uznać nie chcieli kapłanów.
Z pomocą knuta nikczemny Iwanów
Chciał wziąść me dziewczę do swego haremu,
Ale ma córka oparła się temu;

Digitized by Google

Więc rozgniewany sam przybył niebawem
I mówi do mnie: „Powiedz, jakim prawem
Córkiś nie przysłał na moje wezwanie?“
A córka rzekła: „Niech co chce się stanie;
Ojciec mi tego nie bronił zupełnie,
Ale ja twego rozkazu nie spełnię,
Bo wolę umrzeć niż mam się zniesławić.“
„A rzekł Iwanow, ty opór chcesz stawić
Naczelnikowi, i na me rozkazy
Śmiesz odpowiadać hardemi wyrazy;
Ja cię nauczę jak władzę szanować!“
I tak ją kazał nieszczęsną skatować
Że dwa tygodnie w gorączce leżała.
Na trzeci tydzień, gdy już wyzdrowiała,
Iwanow swoje powtórzył wezwanie;
Lecz córka rzekła: „Niech co chce się stanie,
A ja nie pójdę do tego tyrana.“
To było wczoraj a zaś dzisiaj zrana
Iwanow kazał ją gwałtem sprowadzić,
Biedna nie mogąc już sobie poradzić
Uciekła z domu i w górach się skryła;
A przed wieczorem w jezioro skoczyła.
Bóg widać na to mię trzymał na świecie
By zrobić świadkiem jak biedne me dziecię
Przez samobójstwo z mogiłą się złączy.
O Panie! kiedyż Twój gniew już się skończy,
Kiedy z pod jarzma uwolnisz nas Panie?
Bo cierpieć dłużej i sił nam nie stanie,
A nawet cierpieć nie będzie już komu.
Wszak w całej Polsce nie znajdzie się domu,
Którego jeszcze nie smagał knut cara.
Niechaj ta nowa nieszczęsna ofiara
Przebłaga gniew Twój; gdy przed Tobą stanie:
W ofierze za kraj przyjm mą córkę Panie,
Umilkł i tłumiąc w piersi żal głęboki,
Z płaczem na córki swej rzucił się zwłoki.

Digitized by Google

W kolonii druga godzina wybiła
Starzec się zerwał jak gdyby go siła
Nieziemska znowu podniosła na nogi;
Spiesznie zdjął z siebie swój kaftan ubogi,
I rydel wziąwszy rzekł do mnie: „Mój bracie,
Gdy dobra wola a wolny czas macie;
To mi pomóżcie zagrzebać me dziecię.“
Jakto, bez trumny pochować ją chcecie?
Zdziwiony rzekłem i jeszcze tu w nocy —
Nie, na to swojej wam nie dam pomocy,
Nikt ci ją jutro pochować nie wzbroni.“
„Do jutra czekać? a niech mię Bóg broni,
Żeby mą córkę chowali Moskale!
Zjem wprzód te zwłoki lub w ogniu tu spalę
Nim pop moskiewskim obrządkiem je splami,
Choć bracie, lepiej wykopiem dół sami.
Ale mi pomóż, bo jeden nie zdołam.“
„Czekaj, ja ziomków z kolonii zawołam,
Niechaj choć trumnę skołatać pomogą.“
„Nie chodź, bo jeśli stojąca załogą
Moskwa w kolonii ruch jaki dostrzeże,
Przyjdzie tu śladem i wszystkich zabierze.
Mówisz o trumnie, wszak kupić ją trzeba;
A w mej lepiance na funt może chleba
Pieniędzy tylko się jeszcze zostało.
Na trumnę środków tych będzie za mało.“
„To ja ci mogę dopomódz biedaku.
Pozwól mi tylko, kochany rodaku
Pójść do kolonii i kupić co trzeba.“
„Niechaj cię hojne wynagrodzą nieba
Za dobre chęci, lecz twojej pomocy
Przyjąć nie mogę, bo dziś jeszcze w nocy
Córki mej zwłoki schowane być muszą;
Aby się Pan Bóg zlitował nad duszą,
A ciało same, czy z trumną pospołu,
W proch się obróci włożone do dołu.

Digitized by Google

To wszystko jedno, byleby nie kaci
Grzebali zwłoki sióstr naszych i braci.“
Mówiąc to miejsce mi wskazał pod krzakiem,
Ja wziąłem rydel, i razem z rodakiem
Grób wykopawszy darniną wysłałem.
Starzec modlitwę odmówił nad ciałem,
Własną swą ręką zacisnął powieki,
I krzyżem świętym żegnając na wieki,
Chciał w grób położyć, lecz światło księżyca
Upadło prosto na martwe już lica
Biednej ofiary, i żal niewymowny
Rozlany w twarzy, na której cudowny
Wdzięk jaśniał jeszcze, wygnańca rozczulił.
Starzec trup córki do serca przytulił
Zajęczał z żalu, a ja mimo chęci
Kląłem zabójcę: bo dotąd w pamięci
Noszę jej obraz i dziś nad to dziecię
Nic piękniejszego nie widzę na świecie.
„Stało się wreszcie rzekł ojciec stroskany,
Idź spocznij w grobie aniele kochany.“
I z płaczem córki swej oddał mi zwłoki.
Jam zadrżał tylko i tłumiąc głęboki,
Żal co mi z serca łzę cisnął na oczy,
Oddałem ziemi ten posąg uroczy,
Z którym anielska rozstała się dusza.
Już pierwszy promień, co rosę osusza,
Upadł z błękitów na grób usypany,
Gdy starzec, wziąwszy swój rydel złamany,
Ruszył wraz ze mną do swojej zagrody.
W kolonii cerkiew wspaniałej urody
Pośród żebraczych chat złotem jaśniała,
Jak gdyby nędzy urągać się chciała,
Bo nawpół nagi lud snuł się wokoło,
I nędza zewsząd wychylała czoło;
A złotem lśniące się cerkwi kopuły,
Pyszne z dostatku, jak rabuś nieczuły

Digitized by Google

Na klęski bliźnich, wyniosłszy się w chmury
Wśród nędzy dumnie rzucały blask z góry.
Tuż koło cerkwi, oparty o wały
Władcy kolonii stał dom okazały;
Dalej dom popa zachował się w krzaki,
Reszta zaś wioski niby smętarz jaki,
Na którym świeże mogiły się wzniosły
Gdzie niegdzie tylko niedawno wyrosły
Ubogie chatki wśród nędznych ziemianek.
Dźwiękiem żałobnym spotkały poranek
Cerkiewne dzwony, a kilku żołdaków
Pędząc do cerkwi płaczących Polaków
Niechętnym zdala groziło kijami.
Starzec się wstrzymał i rzekł mi ze łzami:
„Trzeba poczekać nim przejdą żołnierze,
Bo jeśli tylko mię który dostrzeże,
Zaraz kańczukiem do cerkwi zaprosi.
Jak na złość teraz ich licho tam nosi
Gdzie idzie droga do mojej zagrody.
Nie wiem czy w piekle nie więcej swobody
Mają skazani na męki szatana,
Niż my tu bracie. Jak widzisz od rana
Do nocy każden codziennie łzy leje,
Nędza, knut, hańba, stracone nadzieje
Dręczą nas codzień, jak duchy piekielne.
Bóg tylko widzi te mordy bezczelne,
Które my znosim, a które dla świata
Są tajemnicą, bo groźny knut kata
Smaga i mówić zabrania, że boli.
O bracie drogi! jeżeli z niewoli
Naszego wroga ocalić się zdołasz,
Przyrzecz że na jaw te zbrodnie wywołasz,
Które nikczemny wróg skrycie tu czyni;
Że będziesz wszędzie jak Piotr na pustyni
Głosić cierpienia i rozpacz twych braci;
Że póki język twój władzy nie straci,

Digitized by Google

Z odwagą polską dla hańby zbrodniarzy,
Wyświecać będziesz gdzie tylko się zdarzy
Podłą nikczemność tyrana z północy.
Że będziesz żebrać dopóty pomocy
Dla nas nieszczęsnych, nim głos twój nie skona,
Albo nie dojdzie do serca i łona
Tych, którzy boleść umieją czuć jeszcze.
Niechaj twe prawdy, jak knuty złowieszcze
Spadną na wroga, co krew naszą pije,
Na wroga, w którym Atylli duch żyje,
Chciwy zaborów, i jak boża plaga,
Wszędzie gdzie może, nasz biedny lud smaga.
Spojrzyj jak tutaj nas podły wróg więzi,
Zdychamy z głodu, jak psy na uwięzi
Knut smaga ciało i zdrowie odbiera
Iwanow dzieci nam gwałtem wydziera,
Car każe własnej wyrzekać się wiary,
Pop na cerkiewne wskazuje wciąż kary.
Córki i żony zhańbione przez wroga
I do Ojczyzny na zawsze już droga
Zamknięta dla nas, bo nikt z tego piekła
Wyjść nie ma prawa. Wszystkich rozpacz wściekła
Trapi, jak harpia i we dnie i w nocy,
Bóg nawet swojej odmawia pomocy,
A nikt współczucia nie wesprze wyrazem,
Chodź będziem płakać, i rozpaczać razem,
Bo rozpacz tylko dziś jest ma pociecha.
Kiedy zaś będziesz na Żmudzi pod strzechą
Moich rodaków, a głos twój nie skona,
Powiedz jak Mojżeł wydarty z ich łona
Cierpi i tęskni po swojej Ojczyźnie;
Że im zostawia po sobie w puściźnie
Wieczną ....
Nagle posiepacz krzycząc: „Żmijo stara!“
Wpadł na Mojżela, lecz kiedy mię zoczył,
Zląkł się, zdjął czapkę i na bok odskoczył.

Ja oficerem już byłem w tym czasie.
Żołdak zlękniony w wielkiem ambarasie
Stał wyprężony nie wiedząc co robić,
Więc się go pytam: „Mów za coś chciał obić
Tego człowieka, czy on w czem zawinił?“
„Nie, odrzekł żołnierz, jam tylko to czynił
Co mi kazano, bo w cerkwi pop czeka.“
„Więc ci kazano bić tego człowieka?“
„Tak jest, rzekł żołnierz, tych wszystkich bić każą,
Co siedzą w chatach lub na wieś wyłażą,
Kiedy pop w cerkwi mszę świętą odprawia.“
„Któż każe czynić wam takie bezprawia!
„Pułkownik panie, bo to buntowszczyki,
Wszystko Polacy, lud podły i dziki,
Wtenczas usłucha jak kijem dostanie.“
„No ruszaj, rzekłem, a on się zostanie
Przy mnie! by wskazać do cerkwi mi drogę.“
„Jeśli pan każe, ja przeczyć nie mogę,
Rzekł żołdak, ale to taki padalec;
On gifrejtera ukąsił był w palec
Kiedy go kazał osmagać pułkownik,
I potem jeszcze powiada buntownik,
Że z bolu tylko niechcący to zrobił.
Ja bym go za to był dzisiaj tak obił,
Że miesiąc z łóżka nie wstawałby pewnie.“
Gdy odszedł żołdak, Mojżeł płacząc rzewnie
Rzekł: „Widzisz bracie, jak człowiek tu żyje.
Kto chce, wykrzyczy, wyłaje, wybije,
A pójdź na skargę, to zaraz pułkownik
Krzyknie: paszoł won, miateżnik! buntownik.
I za drzwi każe wytrącić pięściami“
Mówiąc to, stanął przed chatki swej drzwiami.
Wziął mego konia, ja drzwi uchyliłem,
Wszedłem do środka i nazad wróciłem,
Dłużej nie mogąc znieść izby widoku:
Taka tam nędza rzucała się oku,

Digitized by Google

Dwa pęczki słomy i skóra barania
To były starca i córki posłania,
W kącie stał garnek, dwie miski gliniane,
I dzbanek z wodą, a łyżki drewniane
Leżały z chlebem i solą na stołku;
Nad niemi wisiał Zbawiciel na kołku.
To było wszystko, co Mojżel posiadał,
A przed wygnaniem nieszczęsny postradał
Za miłość kraju krociowy majątek.
Starzec wszedł, spojrzał w samotny zakątek,
Gdzie zmarłej córki leżało posłanie
Zajęczał tylko: „Zabrałeś ją, Panie!“
I jak szalony do cerkwi się rzucił,
Napróżnom wołał, by nazad się wrócił,
Nic nie pomogło już, na nic nie zważa,
Z jękiem się wdziera przed stopnie ołtarza,
Gdzie stał Iwanow; za kark go porywa
I krzycząc: „mam cię, gadzino zjadliwa,
Zbóju nikczemny, zabiłeś me dziecię!..“
Upadł i już go nie było na świecie,
Bo z żalu pękło na dwoje mu serce.
Lud zaczął z płaczem przeklinać morderce
Kobiety z cerkwi uciekły ze łzami
I tylko głośne: „Zmiłuj się nad nami!“
Brzmiało nazajutrz w ziemiance Mojżela.
Smutna to była dla wszystkich Niedziela.
Mąż bowiem zmarły miał wielkie zasługi,
Długo też cierpiał za swoje usługi,
Któremi wspierał Ojczyznę w niedoli,
I umarł za nie, lecz jeszcze w niewoli,
Gardząc nieszczęściem wśród strasznych nadużyć,
Najszlachetniejszym za przykład mógł służyć:
Jak się poświęcać dla dobra ludzkości,
By godnym stać się Ojczyzny wolności.
„Cześć twym zasługom szlachetny Żmudzinie
Każden je uczci, w kim polska krew płynie“

Rzekł jakiś starzec nad trumną Mojżela,
Rzucił garść piasku na grób przyjaciela,
I odszedł spiesznie jakby się chciał schronić,
Żeby przy wrogach łzy żalu nie zronić.
Jam poszedł za nim. Staruszek ze łzami
Wciąż powtarzając: „Zmiłuj się nad nami“
Za duszę zmarłych litanię odmawiał
Prosił Chrysusa, by w niebie się wstawiał
Za biedną Polską, a krew i cierpienia
Polakow przyjął na chwałę imienia
Swojego Ojca i wolność nam wrócił,
Nagle mię spostrzegł i piosnkę zanócił,
Myśląc, że jestem służalcem caratu.
Ja przeciągnąłem mu rękę, jak bratu,
I powitałem litewskim zwyczajem.
Staruszek dłoń mi przeciągnął nawzajem
A gdym powiedział, że z kraju wygnany
Przybyłem do nich, tęsknotą sterany,
By choć dni kilka wśród braci odpocząć,
Starzec z radości nie wiedział co począć
Bo odkąd uciekł z moskiewskich szeregów
Z żadnym Polakiem, prócz swoich kolegów
Z którymi dawna niedola go łączy,
Jeszcze nie mówił i myślał że skończy
Życie, wprzód nim się z kimkolwiek zobaczy.
Kto był wygnańcem, ten wie, co to znaczy
Takie spotkanie i ile dla duszy
Przynosi ulgi wśród ciężkich katuszy.
Karłowicz zwał się ów mąż polskiej ziemi,
Już lat trzydzieście pomiędzy obcemi
Tułał się, różne przechodząc koleje.
Smutek, tęsknota, stracone nadzieje
Wciąż trapiąc duszę i ciało zniszczyły.
Blady, wychudły jak gdyby z mogiły
Tylko co powstał, cierpieniem podjęty
Karłowicz westchnął; jakiś niepojęty

Digitized by Google

Wyraz odbiło staruszka oblicze,
Myśleć by można że wszystkie gorycze,
Które tułacza tak długo nękały,
Znikły odrazu lub nagle skonały
W pamięci, nowem zajętej zjawiskiem.
Poszliśmy razem przez wzgórza pastwiskiem,
Aż nad jezioro, gdzie świeża mogiła,
Zimny trup córki Mojżela schroniła.
Tam Karłowicza przyjaciel Orłowski
Wygnaniec stary, chcąc uciec od troski
Dręczącej duszę, codziennie z swym sakiem
Chodził na ryby; tą razą pod krzakiem
Koło mogiły staruszek siadł sobie,
Bo się dowiedział, że spoczął w tym grobie
Trup męczennicy, od wszystkich kochanej.
Ślady boleści na twarzy rozlanej,
I łza przystygła do siwej źrenicy,
Świadczyły jasno, że skon tej dziewicy
Ubodł biednego tułacza dotkliwie.
Ja, co wypadkiem przybyłem szczęśliwie
W pomoc ziomkowi, gdy córkę postradał,
Opowiadałem, to co opowiadał
Mnie o jej skonie nieboszczyk stroskany.
Orłowski słuchał i łzami zalany,
Padł na kolana, błagając u Boga
O łaskę dla niej i zemstę dla wroga.
Długo się modlił, a wstając z mogiły
Rzekł mi; „Bóg zapłać ci bracie mój miły
Za twe usługi, bo zmarła dziewczyna
Już za mąż miała za mego wyjść syna,
Ja ją kochałem, jak własne swe dziecię,
Dzisiaj obojga ich nie ma na świecie.
Wiesz od Mojżela jak zmarła dziewczyna,
A ja ci mego opowiem skon syna.“
Siedliśmy wszyscy w pobliżu mogiły
Starzec rzekł do mnie; „Jak ty w kwiecie siły

Byłem ja niegdyś, choć dawne to lata,
Dziś bym za młodość swą nie wziął pół świata.
Lecz na nieszczęście nie wraca co minie,
W przepaści czasu starzeje i ginie
Wszystko, co tylko na ziemi się rodzi.
Przeszłość jednakże nas wszystkich obchodzi,
Czy zła czy dobra, wspomina ją przecie
Każden, bo człowiek żyjący na świecie
Z każdym dniem grzebiąc część swego istnienia.
Jako płód z życia przeszłości wrażenia
Z teraźniejszością niknącą wciąż łączy,
Dopóki życia ziemskiego nie skończy,
Tak też na świecie i zemną się działo.
Żyję dość długo, a cóż mi zostało?
Z całego życia wspomnienia z Ojczyzny,
Potem z wygnania. zgrzybiałość i blizny
A byłem niegdyś bogaty i młody,
Lecz kraj nasz, z dawna pragnący swobody,
Do walki z wrogiem zawezwał swe dzieci.
Nieboszczyk ojciec, niech Pan Bóg mu świeci,
Pod Ostrołęką padł w boju zaciętym,
Ja zaś w niewolę Moskalom przeklętym
Wpadłem, raniony przy szturmie Warszawy,
Została matka, lecz ciągłe obawy,
A potem klęski zniszczyły jej zdrowie.
Może ci kiedy kto w kraju opowie
Co się z nią stało, gdy wróciłem z wygnania,
Bo wszystkie dotąd czynione starania
By się dowiedzieć o matki mej losie
Spełzły na niczem, a tu cios po ciosie
Wróg mi zadawał, gdyż zaraz po ranie
Skazany byłem na wieczne wygnanie.
Później na kije i inne cierpienia;
Aż, korzystając z dobrego zdarzenia,
Uciekłem wreszcie od podłych Moskali.
W górach mię zaraz Czerkiesi złapali,

Digitized by Google

I do aułu na sprzedaż zawieźli,
Nazajutrz już się i kupcy znaleźli;
Za pięć baranów zostałem sprzedany,
Nowy właściciel mię okuł w kajdany
Żebym nie uciekł, i między żłobami
W stajni umieścił ze swemi osłami.
Sąsiad kłapouch powitał mię rykiem,
A tłum ciekawych przed stajnią okrzykiem
Pełnym radości, wskazując palcami
Nowym przybyszom, że między osłami
I giaur stoi. Kobiety z litości
Zdala do żłobu rzucały mi kości;
Sądziły bowiem, że psy i giaury,
Mają zupełnie jednakie natury,
Kiedy ich psami Czerkiesi zwą wszędzie. —
„Popróbój, może on siano jeść będzie,
Krzyknął ktoś z tłumu, daj, tylko z daleka,
Bo kto wie może on kąsa człowieka!“
Dzieci z bojaźnią, wołając jak pieska,
Chciały bym szczekał; a jakaś Czerkieska
Do żłobu siana mi garstkę rzuciła.
Tak przez dni kilka się zemną bawiła
Dzika publiczność, a potem przestała.
Ludność ta jeszcze giaurów nie znała;
Słyszała tylko, że jakieś psie plemię
Gwałtem się wdziera, i niszczy ich ziemię;
Więc nic dziwnego że widząc żołnierza
Przy swej dzikości przyjęła za zwierza;
Lecz złe i dobre przemija na świecie:
Cały rok drzewo dźwigałem na grzbiecie.
Razem z osłami przy nędznej dość strawie.
Władca mój w chęci zapobiedz obawie,
Abym nie uciekł, swej żonie poruczył
Mieć mnie na oku, bo sam się wciąż włóczył
Gdzieś po aułach. Od mego strażnika
Jam się wyuczył niebawem języka,

Digitized by Google

A wkrótce potem przypadek tak zrządził,
Że do naszego aułu zabłądził
Imam z oddziałem walecznych rycerzy.
Polak, dezerter z moskiewskich żołnierzy
Był w tym oddziale, i gdy się dowiedział
O mym pobycie, gór władcy powiedział:
Że mię nieprawnie gospodarz mój więzi
Trzymając w stajni już rok na uwięzi
Jak niewolnika, bom sam od Moskali
Uciekł; a tu mię za jeńca sprzedali
Jacyś Czerkiesi, schwytawszy na drodze.
Imam rozkazał ukarać ich srodze
Za nadużycie; a mnie dać nadgrodę
Za roczną pracę, i wrócić swobodę.
Gdy Iłła Grabe Achułgo zdobywał,
Jam przy Szamilu natenczas przebywał,
Jako dowódzca Imama konwoju.
Cała załoga zginęła już w boju
Mieszkańcy tylko bronili wał jeszcze,
Dobę milczały już działa złowieszcze
Ogołocone z ładunków przed czasem.
Na ściany twierdzy z najdzikszym hałasem
Darła się Moskwa po trupach poległych;
A w częściach twierdzy do rzeki przyległych
Lud się gromadził, by baczność Moskali
Na ten punkt zwrócić, gdzie niby spuszczali
Wodza na sznurach waleczni Abrecy.
Szamil zaś wtenczas uciekał z fortecy
Na innym punkcie w moskiewskim mundurze
A zamiast jego jam wisiał na sznurze
Pod gradem zewsząd sypiących się strzałów.
Szczęśliwie jednak spuszczono mię z wałów
Do rzeki, którą wpław przebyć musiałem
I w taki sposób znowu się dostałem
Do boku władcy przez Moskwę nietknięty.
Szamil serdeczną wdzięcznością przejęty

Zą poświęcenia mojego dowody,
Dał mi za żonę przedziwnej urody
Ormiankę wziętą z Mozdoku w niewolę;
Prócz tego bydła, pieniędzy i rolę.
Tak więc przechodząc przez różne zdarzenia
Przyszedłem wreszcie do żony i mienia.
Żona powiła mi córkę i syna
Lecz córka zmarła, pozostał chłopczyna
Jeden, sierota, bo miał cztery lata
Gdy Bóg mu zabrał i matkę ze świata.
Mojżela żona przystojna i miła
W tem czasie właśnie córeczkę powiła;
A przyjaźń dawna synów jednej matki,
I na wygnaniu dwie tułaczów chatki
Złączyła węzłem przyjaźni prawdziwej.
Syn mój po skonie matki nieszczęśliwej
Miał drugą matkę w małżonce Mojżela,
A biedna córka mego przyjaciela
Spędzając z synem moim wiek dziecinny,
Naprzód mu uśmiech i całus niewinny,
A potem wreszcie i serce oddała;
Bo on ją kochał; i ona kochała
Jego nad wszystko po Bogu na świecie.
Ślub ułożony miał odbyć się w lecie;
A tego lata właśnie carskie hordy,
Szerząc okropne pożogi i mordy,
Zdobyły Gunib podłością i złotem.
Wieść o tem zajściu jakby ptaka lotem
Cały Dahestan obiegła do koła.
Zgłodniały naród dłużej stawić czoła
Wrogowi nie mógł już, z tego powodu,
Że zwyciężywszy musiał umrzeć z głodu.
Kraj bowiem cały Lezginów dziedzinę
Hordy moskiewskie zmieniły w ruinę,
Na której tylko tworząc dziwne grupy
Zostały zgliszcza, mogiły i trupy,

Gdzie niegdzie auł z niezasianym łanem,
A w nim pies głodny był władcą i panem
O! serce pęka, gdy przypomnę sobie,
Jak zrozpaczony lud walcząc na grobie
Swojej Ojczyzny, z wiarą w litość Boga
Skonał nareszcie pod przemocą wroga.
Czemuż ja wtenczas nie ległem w mogiłę;
Czemu przeżyłem tę okropną chwilę;
Kiedyż się skończą już moje cierpienia!?
Rok ledwie minął od tego zdarzenia;
Już zgromadzeni tu ukazem cara
Biedni Polacy, którym ojców wiara
Tylko nie była wydartą przez wroga,
Słuchali rozkaz moskiewskiego Boga:
Że prawosławną wiarę przyjąć muszą
A potem służąc i sercem i duszą
Carowi Moskwy; lojalnemi czyny
Zagładzić swoje i swych przodków winy;
Wreszcie nadeszła ostatnia godzina
Chrzest się rozpoczął od mojego syna.
O! drogi bracie; jak tu siedzę żywy,
Tak tam musiałem patrzeć nieszczęśliwy,
Jak pod knutami skonało me dziecię.
O! jeźli tylko piekło jest na świecie,
Jeźli ostatnie są piekielne kary:
To już przez piekło przeszedł tułacz stary.
A jeszcze Bóg mi życia nie odbiera,
Krew stygnie w żyłach i język zamiera;
Kiedy pomyślę o niewieścich jękach
O krwi, o knutach i o moich mękach
W tym dniu okropnym i w kilku następnych!
Poco szukają piekieł niedostępnych
Dla zmysłów ludzkich; natchnieni pisarze
Tu — tu niech przyjdą. Ja im go pokażę,
Tu, gdzie, prócz orła, żaden ptak nie leci,
Gdzie kat mordować ojców zmusza dzieci;

Digitized by Google

A ojcom patrzeć na męczarnie synów,
Matki namawiać do zbrodniczych czynów,
Rodzone dzieci, lub na szyję matki
Zarzucać pętlę zmuszać biedne dziatki
Tu gdzie wróg męcząc mego Polaka
Patrzeć mi kazał na śmierć jedynaka
O! chyba tylko złoczyńca bez duszy
Cierpienie takie do głębi nie wzruszy
Bo nie są wstanie mowy ludzkiej dźwięki
Wykląć, wyjęczeć tej boleśnej męki,
Którą z nas każden tu został dotknięty.
Jam patrzeć musiał, jak męczennik święty —
Syn mój jedyny — skonał pod knutami:
Krew z jego boków lała się strugami;
Obite z ciała sterczały już kości,
I poszarpane knutami wnętrzności
Pełzły na ziemię; z żeber spadło ciało
Tak, żeś mógł widzieć co się w piersi działo
A kata ręka smagała go jeszcze;
Dokoła wrzawa i jęki złowieszcze
Ofiar ginących za wiarę z nim razem
Wlewały w duszę boleść co wyrazem
Nazwać się nieda, bo wyższa nad słowa
Maleje w ustach; lecz gdy raz się schowa
W sercu zbolałem, już ciągle w nim żyje
A nawet nie wiem czy ją śmierć zabije,
I jeźli tylko śmierć ją zabić może —
To daj mi prędzej umrzeć wielki Boże!“
Mówiąc to oczy łzawe wzniósł do góry
Jakby chciał wzrokiem przedrzeć się za chmury,
I tam zostawić zbolałą swą duszę.
Twarz jego straszną odbiła katuszę,
Która już doszła prawie do szaleństwa,
I usta jakieś szeptały przekleństwa ....
Odjazd mój przerwał staruszka marzenia,
A choć żegnając mówił: „do widzenia.“

Digitized by Google

Gdym po raz drugi odwiedzał ich w lecie, —
Już Orłowskiego nie było na świecie.
Na jego śmierci kończę te wspomnienia,
A raczej tylko mówię: do widzenia,
Bo, jeźli Pan Bóg tylko mi pozwoli,
Wszystko, com wyniósł z kaukazkiej niewoli
Rodakom moim zostawię w puściźnie —
Bo zresztą wszystko oddałem Ojczyźnie."

OBJAŚNIENIA.

Digitized by Google

Digitized by Google

Objaśnienia.

Kazbek:

Nazwisko najwyższej góry na Kaukazie, wiecznym pokrytej śniegiem.

Kusary:

Jest to nazwisko jednej z osad wojennych, które na Kaukazie nazywają sztabskwaterami. Każden pułk lub oddzielna część wojska na Kaukazie ma swoje stałe siedlisko, czyli swoją sztabskwaterę, mniej lub więcej ufortyfikowaną, stosownie do miejsca w jakiem się znajduje. Sztabskwatery te zazwyczaj są w pobliżu granic czerkieskich, budują się na ważnych strategicznych punktach i w miejscowości, gdzie jest podostatkiem wody, lasów i łąk. Całe życie towarzyskie pułku, lub oddzielnej części wojska stanowiącego oddzielną wojenną osadę, koncentruje się w kółku ludności, stanowiącej tę osadę, gdyż cała ludność w Dahestanie jest wyznania mahometańskiego, nieprzyjaźna Moskalom i nie komunikuje się ze swymi wrogami. Sztabskwatery kaukazkie są porozrzucane od siebie dosyć odległe dokoła podnóża całego pasma kaukazkich gór; komunikacya między niemi bardzo trudna, gdyż oprócz górzystej, nieznośnej drogi, podróżny narażony jest na wiele niebezpieczeństw z przyczyny ciągle koczujących po drogach partyi czerkieskich, które rabują i zabierają do niewoli, lub zabijają przejezdnych, je-

Digitized by Google

żeli tylko eskorta, bez której nikt nie jeździ, obronić podróżnego od napadu nie jest wstanie. Zarząd sztabskwatery należy do naczelnika tej części wojska, która ją zaludnia, chociaż oprócz wojskowych i ich familii są jeszcze urzędnicy pocztowi, policyjni i kupcy, którzy prowadzą w sztabkwaterach handel.

Byczek:

Jest to nazwisko nadzwyczaj oryginalnego tańca moskiewskiego, charakteryzującego mongolską dzikość Moskali.

Szaszka:

Gatunek pałasza krzywego, nieco podobnego do polskiej karabeli.

Tylko pistolet przy boku zatknięty
I sztylet w pochwę kosztowną ujęty
Wierny przyjaciel w bitwach i w pokoju
Nie zchodząc z pasa, wyczekują boju:

Czerkiesi zwykle pistolety noszą za pasem zatknięte, a sztylety zawieszone na pasie i nigdy kroku nie zrobią bez tej broni. Bezbronnego Czerkiesa każden dzieciak na ulicy nazywa babą i dla tego dzieciak płci męzkiej od lat pięciu, a nawet i wcześniej już nosi sztylet, gdy zaś dorasta do lat młodzieńczych, musi mieć i pistolet używając tej broni nie tylko w obronie Ojczyzny, lecz i w obronie osoby, honoru, tak własnego, jako też i swojej familii. Dla tego to Moskwa nie odważa się rozbroić pokonanych czerkieskich prowincyj. Czerkies bowiem nie oddaje inaczej swego oręża jak razem z życiem, zechcieć więc rozbroić Kaukaz, znaczy, toż samo co samowolnie wywołać naród cały do najzaciętszej walki. Broń czerkieska zwykle jest oprawiona w złoto lub srebro i jest ich największem bogactwem.

Sakla:

Po czerkiesku znaczy dom obronny, chociaż Czerkiesi nazywają wszystkie domy saklami, lecz dom pomieszkalny nazywa się właściwie po czerkiesku „ew“, ale że dom każdego prawie Czerkiesa jest

Digitized by Google

są zostawiają nie wielki otwór; zasłony te mają kształt prześcieradła i nazywają się po czerkiesku czadrami, robią się z jedwabnej materyi, biedniejsi zaś używają białych perkalowych. Czerkieski noszą zasłony nie tylko na ulicach, ale i w domu do najpodeszlejszego wieku, lecz jeżeli na ulicy Czerkies chce zobaczyć twarz dziewczyny, wtenczas zatrzymuje się na kilka kroków przed nią i dmuchnie na ziemię, co znaczy u Czerkiesów ustami swemi oczyszczać drogę dla stóp idącej dziewicy, która za tę grzeczność obowiązaną jest odkryć zasłonę i pokazać swą twarz, mężatki jednak i w tem razie twarzy swej pokazywać nie mają prawa.

Allach:

Po czerkiesku znaczy Bóg.

Nie wiem jak matki im córki sprzedają:

Dotąd jeszcze u Czerkiesów nie wydają za mąż rodzice swe córki, lecz sprzedają je narzeczonym. Płata za dziewczynę nazywa się kałymem, po zapłaceniu którego duchowna osoba błogosławi narzeczonych krótką modlitwą z koranu i w tem się zawiera cały obrządek ślubny. Po ślubie kupiona dziewczyna staje się własnością swego meża, który ma nad nią nieograniczone prawa, bo śmiercią nawet ukarać może swą żonę, chociaż krewni żony i opinia publiczna, na której wiele każdemu Czerkiesowi zależy, czuwają i karcą nadużycia mężów. Jeżeli Czerkies dla jakichkolwiek przyczyn chce się swej żony pozbyć, ma prawo w każdej chwili wypędzić ją z domu, lecz żona porzucić męża może wtedy tylko, gdy rodzice lub krewni zwrócą mu kałym, który za nią zapłacił. Szamil ostatni władca Dahestanu i Czeczni wydał pierwsze prawo dla Czerkiesów, noszące nazwę Szyryatu, w zamian Adatu (to jest zwyczajów starych, które zamieniały prawo) i w prawie tem zniżył znacznie kałymy, tak, że w niektórych prowincyach nie wolno brać drożej rodzicom za córkę jak kile, to jest miarę równającą się garncowi pszenicy, w innych miejscach czubatego koguta, a w najbogatszych prowincyach pięć rubli moskiewskich,

Digitized by Google

wtenczas, kiedy do wydania Szyryatu, rodzice sprzedawali swe córki po 300 rubli i drożej. Szamil zmniejszył kałymy dla tego, aby dać możność żenić się i ludziom biednym, którzy przedtem nie mogli wstępować w związki małżeńskie, nie będąc wstanie zapłacić tąk znacznej kwoty, lecz zmieniając prawo o kałymach, utrudnił i rozwody; podług Szyryatu bowiem Czerkies rzucając swą żonę, obowiązany jest oddać jej połowę swej fortuny.

Jeżeli do lat osiemnastu dziewczyna nie wyjdzie za mąż, to ojciec jej lub krewny płci męzkiej pod którego opieką zostaje idzie do więzienia i trzyma się tam póty nim córka nie wyjdzie za mąż; a że Czerkiesi wstydzą się kojarzyć z familiami na których cięży jakakolwiek plama, ojcowie więc mimo władzy nieograniczonej, którą mają nad swemi dziećmi i żonami, unikać muszą nadużyć, aby nie ściągnąc na siębie presyi opinii publicznej.

Krew ojca pomścić należy do ciebie:

Podług zwyczaju Czerkiesów jeżeli kto się dopuści zabójstwa, to najbliższy krewny zabitej osoby powinien zabić zbójcę; taka zemsta za krew ciągnie się bardzo długo, bo n. p. ktoś zabił mego brata, więc ja powinienem zabić jego, lecz najbliższy krewny zabitego ma potem obowiązek zabić mnie, mój zaś krewny tego co mię zabił i t. d., lecz jeżeli zabójca po dokonanem czynie wciągu trzech lat potrafi ocalić się od zemsty, natenczas przysługuje mu prawo pogodzenia się z tym kto go ściga: zgoda ta odbywa się zwykle w ten sposób: Winowajca w czwartym roku zjawia się do miejscowej władzy, zeznaje gdzie się przechowywał trzy lata dla uniknienia zemsty i prosi władzę o pośrednictwo do pogodzenia się ze swoim przeciwnikiem; natenczas władza miejscowa bierze go pod swoją opiekę, wzywa do siebie przeciwnika i odebrawszy od obydwóch oręż, w przytomności zebranych świadków stawia obydwóch do siebie plecami, potem zaś namawia, aby się pogodzili, lecz jeżeli krewny zabitego nie chce przebaczyć zabójcy, natenczas władza objawia mu, że ponieważ nie odemścił się w ciągu trzech lat krwią za

Digitized by Google

krew, więc już utracił prawo do zemsty i powinien podług prawa przyjąć wynagrodzenie, które wynosi do 300 rubli za mężczyznę, a do 150 za kobietę.

Jermołów:

Nazwisko namiestnika carskiego na Kaukazie, o którego barbarzyństwach dotychczas jeszcze Czerkiesi mówią z wielkiem oburzeniem, chociaż już bardzo dawno opuścił Kaukaz.

Chaństwo:

Cały Dahestan dzielił się dawniej na chaństwa to jest oddzielne części zupełnie od siebie niezależne, każda z tych części miała swojego chana, to jest władcę z nieograniczonemi prawami, który wszystkich mieszkańców jako kułów (niewolników) za własność swoją liczył i oddawał w sukcesyi swym potomkom.

Znaczna część chaństw po wkroczeniu na Kaukaz Moskali przeszła pod panowanie Moskwy, która zmusiła je przyznać swoją władzę i obrócić oręż przeciwko swym współwyznawcom nie chcącym uznać nad sobą moskiewskiej władzy, lecz kiedy potem Szamil stanąwszy na czele ludu, odbił je napowrót od Moskwy, zagarnął władzę w swe ręce, gdyż chanowie walcząc przeciwko niemu razem z Moskwą, do chaństw swoich nie mogli powrócić.

Został jeden tylko chan Awarski Hamzat-Bek, lecz Szamil kazał go zabić, a chaństwo jego przyłączył do swych posiadłości. Wtęn sposób wszystkie chaństwa niepodległe Moskwie, zlały się w jedną posiadłość i posiadłością tą zarządzał Imam na prawach nieograniczonych, te zaś które zostały pod panowaniem Moskwy, do zupełnego pokonania Kaukazu istniały na dawnych prawach, z tą tylko różnicą, że chanowie uznawali nad sobą zwierzchnictwo Moskwy i działali w myśl rządu moskiewskiego, lecz gdy cały Dahestan dostał się już w ręce Moskali, carat usunąć kazał chanów od zarządu chaństwami i zamieniwszy je na okręgi, oddał pod zarząd okręgowych naczelników.

Giumwry:

Nazwisko aułu leżącego w średnim Dahestanie.

Imam:

Jest to najwyższa duchowna godność.

Kiedy jeszcze władza świecka była w ręku chanow, Imami nie mieli tak wielkiego znaczenia, lecz Kazimollaj władca Andyi (prowincyi rozdzielającej Czecznię od średniego Dahestanu) łącząc w swej osobie godność Imama z władzą chańską, stał się wkrótce władcą prawie całego Dahestanu i Czeczni, jedno bowiem tylko Awarskie chaństwo, mając swojego chana, nie chciało uznać nad sobą świeckiej władzy Imama, lecz następca Kazimollaja Szamil, widząc, że rozdwojenie władzy z którego Moskwa starała się korzystać, może sprowadzić klęski na cały kraj, pozbył się awarskiego chana Homzad-Beka i przywłaszczył sobie sukcesyjne prawo do nieograniczonej władzy nad całym krajem.

Obydwie Czecznie i Bortunaj sławny:

Bortunaj nie wielka lecz nadzwyczaj ważna pod względem strategicznym prowincya słwi się dotychczas klęską, którą tam poniósł Cyrus król perski, miał bowiem w Bortunaju stracić połowę swej licznej armii, którą prowadził dla podbicia Czeczni. Niedawnemi czasy niejaki ormianin Jakób Łazarew zbierając materyały dla historyi Kaukazu z podań ustnych i ze szczątków starożytnych pamiątek znajdujących się w tym kraju, w lasach czeczeńskich wynalazł ruiny pomnika i z napisów rytych na ciosowym kamieniu, przekonał się, że pomnik ten, był pośmiertnym pomnikiem Cyrusa króla perskiego, co bardzo być może, bo historya perska nie posiada dokładnej wiadomości o śmierci Cyrusa, a ustne podania, na których dla braku innych dowodów historycy perscy musieli się oprzeć są różnej treści.

Zakatały:

Nazwisko fortecy moskiewskiej i aułu czerkieskiego podległego Moskwie, od którego bierze na-

Digitized by Google

zwisko swoje i forteca w pobliżu jego zbudowana. Auł ten leży na ałazańskiej dolinie w dżiarbiełakańskim okręgu nie daleko rzeki Ałazani.

Gudordach:

Nazwisko najwyższej w łańcuchu gór wiecznym pokrytych śniegiem, który się ciągnie od ałazańskiej doliny, przez cały Dahestan aż do Czeczni i nazywa się pasmem gór gudordachskich.

Kars:

Nazwisko miasta i fortecy tureckiej w Azyatyckiej Turcyi.

Bajandur:

Nazwisko wsi ormiańskiej, leżącej nad rzeką Arpaczajem o milę od twierdzy moskiewskiej Alexandropol.

Baszkadyklar:

Nazwisko ormiańskiej osady, należącej do posiadłości tureckich w Azyi.

Igdyr:

Nazwisko osady ormiańskiej, leżącej na samej granicy posiadłości moskiewskich i tureckich u samego podnóża gór araratckich.

Kachetya:

Nazwisko najbogatszej prowincyi w ziemi Gruzyanów, sławnej z dobrego wina.

Naib:

Dawniej każde chaństwo, a potem cały Dahestan i Czecznie niepodległe Moskwie dzieliły się na Naibstwa. W każdem naibstwie z ramienia Imama naznaczał się rządca, który nazywał się Naibem i rządził naibstwem z pomocą dodanej sobie rady, składającej się z kilku doświadczonych mężów. Naib nietylko był rządcą, lecz i naczelnym wodzem całej ludności sobie w zarząd powierzonej, miał prawo

Digitized by Google

karać śmiercią i pobierał połowę wszystkich dochodów z naibstwa któremi rządził, drugą zaś połowę oddawać musiał chanowi lub Imamowi.

Wszyscy w czerkieskach, ogolone głowy:

Czerkieska inaczej czocha, jest to nazwisko ubrania, którego wszyscy Czerkiesi używają, a jako Mahometanie golą głowy zostawiając tylko niewielki kosmyk włosów na samem wierzchołku, lub dwa kosmyki na kształt pejsów żydowskich, dla tego aby po śmierci, Mahomet miał za co ująć, gdy zechce ciało wciągnąć do raju. Największą stratą dla Czerkiesa, jest pozbawienie zostawionego kosmyka włosów, bez którego podług ich mniemania Mahomet przy najszczerszem życzeniu po śmierci ciało do raju wciągnąć nie może.

Nukier:

Na Kaukazie wszyscy jeździć muszą z eskortą, wszędzie bowiem po drogach, Czerkiesi dopuszczają się rabunków i zabójstw, są nawet miejsca gdzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kilku kroków za obrębami fortecy nie można zrobić, dla tego też każdy z możniejszych ludzi trzyma już stały konwój, bez którego nigdzie z domu nie wychodzi, a im kto jest możniejszy, tem trzyma przy sobie silniejszą straż przyboczną i udzie ci, z których się ta straż przyboczna składa, nazywają się po czerkiesku nukierami.

Tam zobaczymy starożytne mury:

Na północ od miasta Derbentu, ciągną się dosyć duże góry, na których zostały jeszcze dotychczas ruiny fortec, zbudowanych jeszcze za czasów Alexandra Macedońskiego, samo nawet miasto Derbent jest opasane dokoła wysokim i grubym murem z ciosowego kamienia, mur ten ma grubości do dwóch sążni i mimo to, że już stoi przeszło cztery tysiące lat, tak jest mocny, że kiedy niedawnemi czasy, Moskale chcieli znieść jedną ścianę, aby otworzyć drogę dla budowli z każdem prawie rokiem zwiększającemu się miastu, to okazało się, że oba-

Digitized by Google

lenie starożytnego muru pociągnie za sobą ogromne koszta, kamienie bowiem, z których był zbudowany, przez tak długi czas złączyły się w jedną masę, którą tylko za pomocą dłóta i min prochowych zburzyć można. Sciany, któremi Derbent jest opasany, mają do dwóch mil długości, te zaś które już leżą w ruinach wraz ze swemi fortecami, ciągną się na mil kilkanaście.

Bijąc rękami w bębenek gwarliwy:

Wszystkie azyatyckie narody używają do akompaniamentu przy śpiewie, nie wielkich płaskich bębenków, podobnych nieco do tych, jakie mieć zwykli żydzi przy swoich orkiestrach.

Iczkieryńskie lasy:

We środku wielkiej Czeczni, niedaleko od Wedeno rezydencyi Imamow, ciągnie się ogromna puszcza, po całaj prowincyi Iczkiery, od której nazwiska i znajdujące się w niej puszcze noszą nazwę Iczkieryńskich lasów.

Zkąd cię Bóg przyniósł, i w jakiej to sprawie
Bałzam pociechy chcesz wlać do mej duszy
Gwożdziem uwagi przybiłem swe uszy
Zawsze łaknące usłyszeć twą mowę:

Czerkiesi prowadząc wojnę z Persami przyjęli w mowie styl perski, w całej bowiem Azyi Persowie liczą się za naród najwięcej ucywilizowany, umyślnie więc przetłómaczyłem tu dosłownie z języka perskiego, wyrażenie zwykle używane w potocznej mowie, które w mowie swej także i Czerkiesi starają się naśladować, aby zapoznać czytelników ze sposobem wysłowienia się Czerkiesów, mających pretensyę do wyższego wykształcenia.

Koniec Imama ucałował szaty:

Czerkiesi, również jak inne narody machometańskiego wyznania gołąc głowy nie zdejmują czapki przy przywitaniu się, nawet modlą się w cza-

Digitized by Google

pkach, przy spotkaniu się zaś ze znajomemi, zamiast zdejmować czapkę, kładną na pierś prawą rękę i jednocześnie nachylają głowę ku ziemi, lecz gdy się witają z osobą wyższej godności, na znak uszanowania całują koniec jej szaty.

Kuł.

Po czerkiesku znaczy niewolnik, poddany.

Na Kaukazie w jednem tylko Dahestanie było niewolnictwo, mieszkańce zaś prawego skrzydła Kaukazu, których posiadłości przylegają do brzegów morza Czarnego, a także Czecznia wielka i Czecznia mała, były wolne od niewolnictwa i dla tego ludność w Dahestanie nazywała się kułami to jest niewolnikami, ludność zaś ta gdzie niewolnictwa nie było uzdeniami czyli ludźmi wolnemi. Po zawojowaniu Dahestanu, Moskwa oddała awarskie chaństwo jednemu z potomków awarskich chanów Ibrahim-chanowi, który był prawym sukcesorem tego chaństwa, i on pierwszy w Dahestanie darował swobodę podwładnej sobie ludności swojego chaństwa.

Miuryd:

Miurydem, nazywa się u Czerkiesów każden człowiek, któren poświęci siebie na wieczną walkę w obronie wiary. Miurydyzm zaczął się rozwijać w kaukazkich górach z tej przyczyny, że z początku chanowie, a potem Imami, prowadząc ciągłe wojny z ościennemi narodami nie mieli środków do sformowania stałej armii, a potrzebowali ją mieć koniecznie dla obrony swoich posiadłości, skorzystali więc z religijnego fanatyzmu, którym przejęci są wszyscy Czerkiesi i zaczęli propagować, że ci którzy zostaną Miurydami, po śmierci pójdą niezawodni do raju Mahometa; ta propaganda zjednała im tylu zwolenników, że za czasów Szamila ostatniego Imama w Dahestanie, tylu już było miurydów, że mieszkańcy kaukazkich gór, wtenczas tylko przyjmowali udział w walce, gdy wróg nachodził te auły, w których sami mieszkali, na obronę zaś innych aułów nie wyjeżdżali, gdyż odpierać napady wroga na kraj, stało się już niejako obowiązkiem li tylko samych

Digitized by Google

miurydów i wtenczas już Szamil ustanowił prawo dla miurydyzmu, które w liczbie innych przywilejów nadanych miurydom zobowiązywało mieszkańców każdego aułu, do przekarmienia familii miurydów, przez cały ten czas kiedy miuryd wydala się z domu na służbę krajową.

Abrek.

Wygórowany fanatyzm religijny i ślepa wiara w to, że kto zginie w obronie wiary, tego dusza idzie wprost do raju pełnego niewypowiedzianych rozkoszy, utworzyły między Czerkiesami sektę szukających śmierci w walce z niewiernymi i sekta ta nazywa się sektą Abreków, każden kto chce zostać Abrekiem, przyjmuje przysięgę, że w każdej chwili gotów jest oddać życie i poświęcić się na wszelkie męki w obronie wiary, jak również zrzeka się wszelkiej własności, któraby go do życia ziemskiego przywiązać mogła, potem wkłada biały kaptur z wielbłądziego sukna, którym całą twarz zasłania dla tego, żeby żadna kobieta nie mogła się w nim zakochać i z miłości odkłonić go od przedsięwziętego zamiaru, sam zaś obowiązuje się przysięgą nigdy nie spojrzeć na kobietę.

Gdy już Czerkies wstąpi do sekty Abreków, jako pozbawionemu wszelkiej własności na ziemi oprócz broni i konia, niezbędnie do walki potrzebnych, każden mieszkaniec całego kraju jest obowiązanym dać pokarm i miejsce dla spoczynku w swoim domu tak dla Abreka jak również i dla jego konia, a także jeżeliby potrzebował jakiego ubrania dla siebie, nikt mu odmówić nie ma prawa.

Azyatycka zurna:

Jest to instrument muzykalny podobny z powierzchowności do klarnetu, ale dźwięki wydaje nadzwyczaj ostre i głośne.

Chadży - murat:

Był w górach kaukazkich pierwszym dygnitarzem po Imamie, miał pod swym zarządem kilka

Digitized by Google

najpotężniejszych naibstw, człowiek ten wsławił się tak walecznością jako też wrodzonym geniuszem do wojny partyzanckiej. Lat kilkanaście Chadży-murat, nanosił ciągłe klęski Moskałom, pod koniec zaś swego życia ułożył plan dla zdobycia od Moskali Tyflisu, lecz że nie znał tych miejsc, przez które zamierzał przeprowadzić swe hufce, zryzykował się na bardzo niebezpieczny środek aby je poznać, udał bowiem, że zdradza Szamila i przeszedł na stronę Moskali, którzy chociaż udawali że mu wierzą, mieli go ciągle na oku.

W parę miesięcy Chadży-murat poznawszy się z miejscowością o którą mu najwięcej chodziło, wyruszył napowrót w góry, z zamiarem przyprowadzenia do skutku swojego planu, lecz naścigniety przez pogoń moskiewską w Nuchińskim lesie, otrzymał szesnaście ran, od których na drugi dzień skończył życie.

Bo nieśmiał siedzieć przy swym starszym bracie:

Podług zwyczajów czerkieskich, niewolnik nie śmie siedzieć w przytomności swego władcy, a że cała ludność znajdująca się w chaństwie, nawet najbliżsi krewni i dzieci własne są poddanemi chana, więc i dzieciom nie wolno siedzieć w przytomności ojca; a tem bardziej braciom i dalszym krewnym.

Kto czuł, że bagnet już zajrzał mu w serce
Sam go pchał głębiej byleby mordercę
Dosięgnąć jeszcze ostrzem puginału:

Każden Czerkies jest tego przekonania, że im więcej zabije giaurów, tem większe położy zasługi, gdy więc już widzi że jest ciężko rannym, dopóki tylko siły mu pozwalają, walczy z największą zaciętością, aby przed śmiercią jeszcze zaskarbić sobie względy Mahometa i lepsze miejscę zająć w raju, gdyż podług pojęcia Czerkiesów siódme dopiero niebo, jest szczytem rozkoszy przyszłego życia, każden więc chce dostać się na siódme niebo, w sześciu bowiem pozostałych mniej ma bydź przyjemności.

Digitized by Google

Nieraz byłem naocznym świadkiem, jak Czerkies pchnięty w boju bagnetem, nie mogąc dosięgnąć swego wroga, głębiej jeszcze wpychał bagnet w swe ciało, aby tym sposobem przybliżyć się do swego przeciwnika i pozbawiwszy go życia, sam w kilka minut potem oddawał Bogu ducha.

Inni przy krewnych z ironiczną miną
Usta zmarłego mazali słoniną
Krzycząc już teraz nie pójdziesz do raju:

Mahomet chcąc ochronić swoich wyznawców od chorób, któreby mogły się rozwinąć od używania zbyt tłustych pokarmów, szkodliwy wpływ na zdrowie wywierających przy gorącym klimacie, w koranie swoim po za obręby którego, nie pozwala sięgać rozumowi ludzkiemu, zabronił swym wyznawcom jeść wieprzowinę, grożąc utratą raju temu, kto splami swe usta używaniem zabronionego pokarmu.

Stanice zawsze do walki gotowe:

Moskwa chcąc zabezpieczyć swe posiadłoście od napadów, nad brzegami rzek graniczących z posiadłościami nie podległych jej Czerkiesów, założyła osady kozacze, dosyć blizko od siebie leżące w jednej linii, dla tego też kozacy ci nazywają się w ogóle kozakami liniowemi, ale że jest cztery linie takich osad jako to nad rzekami, Uralem, Łabą, Sunżą i Terekiem, więc i kozacy liniowi dzielą się na kozaków uralskich, łabińskich, sunżyńskich i terskich.

Kozacy zamieszkali w stanicach, obowiązani są służyć 25 lat na własnych koniach Moskwie, za grunta, z których korzystają bezpłatnie i nie mają prawa ani sami ani potomstwa ich przesiedlać się nigdzie ze swoich stanic.

W każdej z takich stanic jest zbudowana wysoka strażnica i gdy tylko stojący na niej szyldwach spostrzeże przeprawiających się przez rzekę na terytoryum moskiewskie Czerkiesów, zapala zaraz wiszący nad strażnicą słomianny wiecheć i tym sposo-

Digitized by Google

bem daje znać innym stanicom o grożącem niebezpieczeństwie, kozacy zaś zamieszkali tak w tej stanicy gdzie dostrzeżono wroga, jak również w sąsiednich stanicach, siadają zaraz na konie i spieszą odpierać Czerkiesów wrywających się do posiadłości moskiewskich.

Kargalinka:

Nazwisko kozaczej stanicy leżącej nad brzegiem rzeki Tereku, niedaleko od miasta Kizlaru.

Kumys:

Kałmycy doją klacze i dodając do wydojonego mleka rozmaite zioła przyrządzają napój, bardzo posilny, któren po kałmycku zowie się kumysem.

Kumys jest lekarstwem od wielu cierpień piersiowych, kałmycy zaś piją go dla pokrzepienia sił.

Kibitka:

Kałmycy prowadząc życie koczujące nie budują domów, lecz mają namioty robione z pęków wiązanej trzciny lub z grubych koców, które z pomocą wbitych w ziemię drewnianych słupów, rozstawiają zupełnie tak jak wiejskie domki. Namioty te są bardzo dogodne dla kałmyków tem, że je w każdej chwili można rozebrać i znowu złożyć; prócz tego są bardzo lekkie i przy przewiezieniu z miejsca na miejsce, cały dom pomieszkalny z łatwością umieszcza się na jednem wozie i namioty te po kałmycku nazywają się kibitkami.

W uszach i w nosie ogromne kulczyki:

Szpetne z natury kałmyczki więcej jeszcze szpecą siebie upiększeniami, których używać zwykły, mają bowiem jakieś farby niebieskiego i zielonego koloru, w które maczają grube igły i przeciągając je potem pod skórą, rysują na czole rozmaite hieroglify, łączą zieloną lub niebieską farbą brwie, w takiż sam sposób upiększają brodę i przeciągają pod skórą farbami krzywe linie od kątów ust do końców

Digitized by Google

szczęki. Oprócz tego przekłówają sobie uszy, koniec brody, obydwie strony nosa i w przekłóte otwory wkładają dosyć spore emaliowane kółka srebrne, podobne do kółek stalowych, na których u nas zwykle noszą klucze.

Wygorsowana i gors ozdobiony
Złotą monetą nizaną na sznurki:

Nietylko Kałmyczki ale także Czerkieski Turczynki i Persyanki, zbierają srebrną i złotą monetę, któremi potem ozdabiają swe gorsa, nawlekając ją poprzednio na jedwabne sznurki.

Kajtach i Szelegi:

Są to nazwiska dwóch osad czerkieskich, w południowym Dahestanie, nie daleko od miasta Derbentu leżących.

Kajtach był niegdyś rezydencyą chana kajtachskiego chaństwa, które bardzo długo było zupełnie niepodległem, nie chciało bowiem uznać nad sobą ani moskiewskiej, ani Imamow władzy, lecz Sadyk-chan, ostatni władca tego chaństwa, przekupiony przez Moskwę, wbrew woli narodu, uznał władzę moskiewską nad kajtachskim chaństwem i zaczął jednomyślnię z Moskalami działać przeciwko Szamilowi.

Burka:

Jest to gatunek koca utkanego z wielbłądziej szerści, na kształt długiej peleryny, której Czerkiesi używają zamiast płaszcza, jest bardzo dogodna, bo nie prędko przemaka i dobrze ochrania od wiatru.

Na dzikim koniu ze sztyletem w zębach:

Czerkiesi zwykle nacierają na wroga trzymając sztylety w ustach, a pistolety w ręku i dopiero gdy już wystrzelą, puszczają z ręki pistolet przywiązany rzemykiem za koniec kolby do pasa, a biorą do rąk sztylety i z przeraźliwym piskiem rzucają się na nieprzyjaciela.

Digitized by Google

Mułła:

Jest to godność duchowna. Mułła jest razem i sędzią polubownym w całej osadzie czerkieskiej lub w pewnej części takowej, w której jest duchownikiem, w większych bowiem osadach bywa po kilku Mułłów i wszyscy utrzymują się kosztem ludności znajdującej się pod ich kierunkiem, nie tylko religijnym, ale i militarnym, Czerkiesi bowiem prowadząc wojnę w obronie wiary, mają zawsze w bitwach na czele duchowne osoby, które przykładem swoim, dodają ducha odwagi walczącym braciom.

Może ich dusze już są teraz w raju,
Ale na ziemi jeszcze leżą zwłoki:

W Dahestanie z początku chanowie, a potem imami prowadząc ciągłe wojny z ościennemi narodami, które chciały opanować kaukazkiemi górami, starali się rozbudzić w ludności mahometańskiego wyznania fanatyzm religijny i na nim oprzeć swoją potęgę. Gruzyanie z jednej, a Persowie z drugiej strony ciągle wrywali się do Dahestanu, lub różniąc się między sobą wchodzili w układy z potężniejszemi chanami Dahestanu, tak, że chanowie musieli walczyć to z Persami przeciwko Gruzyi, to z Gruzyą przeciwko Persów, to odpierać napady Persów i Gruzyan na swe posiadłości. Cyrus król perski podbił już znaczną część Kaukazu, którą potem znowu utracił, a Nadyr-Szach prowadząc z sobą ogromną artylerye, pokonał już połowę Dahestanu, ale w końcu rozbity na górze Turczadachu, stracił całą swą armię, a sam zmuszony był ucieczką ratować swe życie, lecz wpadł w ręce kazihumuchskiego chana, i po długich męczarniach na które go chan skazał, umarł w Kumuchu, gdzie dotąd jeszcze znajduje się kilkanaście dział rozmaitego kalibru, zabranych od Nadyr-szacha.

Rozwijając fanatyzm religijny, chanowie i Imami wpoili w Czerkiesów to przekonanie, że jeżeli ktokolwiek z nich straci życie w walce z giaurami, to dusza jego idzie zaraz do raju, gdzie ją czekają niewypowiedziane rozkosze, a chociaż Persowie są

Digitized by Google

wyznania mahometańskiego, lecz Czerkiesi nazywają ich odszczepieńcami, dla tego, że Mahometanie dzielą się na dwie sekty, jedna z nich nazywa się Sunicką, a druga Szeicką, i obie te sekty nienawidzą się wzajemnie, a że Persowie są Sunitami, Czerkiesi Szeitami, nienawidzą więc Persów gorzej jeszcze jak giaurów.

Namaz:

Mahometanie trzy razy dziennie, to jest rano, w południe i wieczorem przed modlitwą winni umywać ręce, nogi i inne członki ciała, bez tego bowiem nie można się modlić i ceremonia ta nazywa się namazem.

Minaret:

Minaretem nazywa się wieża przy domie, do którego Mahometanie schodzą się na modlitwę, wieża ta zazwyczaj jest wyższą od wszystkich otaczających ją zabudowań, z galeryjką na samem wierzchołku dla Mułły, który ztamtąd głośnym śpiewem, daje znać o czasie, w którym każden mahometanin winien się modlić.

Arba:

Arbą nazywa się u Czerkiesów wóz dwu kołowy, koła te mają czasem wysokości do pięciu łokci, robią się z grubych desek bez sprych i obracają się razem z osią.

W Dahestanie przy nadzwyczaj górzystych drogach i mnóstwie potoków, które przy najmniejszej zmianie pogody bardzo prędko wzbierają i opadają, wozy te są bardzo dogodne. Czerkiesi dotąd jeszcze innych wozów nie znają, a nawet żony chanów gdy jadą w dalszą drogę, nie jadą już konno, ale arbą, do której wtenczas zaprzęgają dla okazałości, zamiast pary jak zwykle, cztery bawoły.

Cała Gruzya niedawno zaczęła używać powozów, przed pięćdziesięcią laty bowiem, jeszcze wszyscy używali arb, chociaż i dzisiaj jeszcze tylko emancypowane Gruzyanki jeżdżą powozami.

Digitized by Google

Meczet:

Dom gdzie Mahometanie zbierają się na modlitwę nazywa się meczetem.

Susłów:

Jenerał moskiewski, który był naczelnym wodzem zbrojnych sił moskiewskich, wysłanych dla uśmierzenia szelegińskiego powstania.

Digitized by Google

Spis przedmiotów.

Digitized by Google

PB-0003349-SB
717-40T
5

Digitized by Google

Digitized by Google

Nabyć można
w Administracyi „Gazety Narodowej“
we Lwowie.

Digitized by Google

Digitized by Google

Digitized by Google